ALERT W SPRAWIE PRACY

komu gazetę?

KONFRONTACJE 75

okrucieństwo

ODGŁOSY

ROK XIX NR 15 (957) 8 KWIETNIA 1976 CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REPORTAŻ

JACEK INDELAK

LUDZIE UCIEKAJĄ Z CHODAKOWA

SOCHACZEW przechodzi w Chodaków niepostrzeżenie, jak Łódź w Pabianice. Mimo pięciu kilometrów asfaltu między granicami administracyjnymi obu miast, nierzadko to drugie bywa nazywane przedmieściem pierwszego. Oba zresztą miasta wyszły sobie naprzeciw ciągnącymi się wzdłuż szosy rzędami domów.

Wielkomiejskie zakusy Sochaczewa nie gniewają specjalnie nikogo. Wszyscy dobrze tu wiedzą, że w przeszłości większą rolę **odegrał Chodaków w życiu Sochaczewa,** aniżeli odwrotnie. A przeszłość ta sięga **1926 roku**, kiedy to inż. **Józef Krzyżanowski** z upoważnienia francuskiego koncernu **„Comptoires Textiles Artificieles"** przystąpił do organizowania spółki akcyjnej **„Fabryka Przędzy i Tkanin Sztucznych Chodaków"**. W zabitej dechami wsi, położonej w widłach Bzury i Utraty, ruszyła w dwa lata później fabryka jedwabiu wiskozowego. Stała się ona dobrodziejstwem dla setek ludzi łaknących pracy — dla robotników i rzemieślników z Sochaczewa, dla małorolnych chłopów z **Młodzieszyna, Juliopola** czy **Żukowa** dla inżynierów, handlowców i urzędników z Warszawy. **A dziś ludzie uciekają z Chodakowa.** Przychodzą nowi. Odchodzą. Ruch, jak na dworcu kolejowym. Dla wielu jednak nie jest Chodaków stacją docelową, lecz kolejnym przystankiem długiej podróży.

— W ciągu ostatnich dwóch miesięcy — mówi główny specjalista do spraw kadrowo-socjalnych mgr Józef Jordan — **przyjęliśmy 83 osoby, a w tym samym czasie odeszło 85.**

Załoga liczy przeszło 3 100 osób. Połowa — to mieszkańcy Chodakowa. Reszta dojeżdża z Sochaczewa i okolicznych wsi. Termin „dojeżdża" pasuje w zasadzie do tych z Sochaczewa. Ci rzeczywiście dojeżdżają spóźniającymi się autobusami państwowej komunikacji.

Tamci zaś ze wsi — z **Juliopola, Żukowa, Młodzieszyna** czy **Miszczewic** — dowożeni są zakładowym transportem. Chodaków zatrudnia przeszło czterdziestu kierowców. Siedem zdezelowanych autobusów kursuje w tę i z powrotem: system czterozmianowy, różne godziny pracy poszczególnych wydziałów. Kiedy autobus nawali, wysyła się po ludzi ciężarówkę...

— Gdzie się chłopie, pchasz? Do takiego trupa? Wsiadaj do mnie! Nie smarujesz, a jedziesz — pokrzykuje nierzadko kierowca luksusowego, nowiutkiego „Autosana", który zatrzymał się w centrum Młodzieszyna nieopodal chodakowskiej ciężarówki. Jego autokar — też fabryczny, ale nie z Chodakowa.

Przez wiele lat **Chodaków był dobry dla wszystkich:** nie miał konkurencji. Powstało jednak wiele nowych zakładów, rozwój komunikacji skrócił odległości między miastami. Kaperownicy osaczyli Chodaków, który leży wprawdzie na terenie województwa skierniewickiego, ale płockie ma o pięć kilometrów warszawskie zaś — w odległości piętnastu kilometrów.

Konkurenci — to ozarowskie „kable", huta „Warszawa", plecewicka „ceramika", boryszewski „Erg" i „Energomontaż", szymanowska „Zatra", błońska „Mera", warszawski „Żelbet". Nie muszą się zbytnio napracować, żeby podkupić pracowników. Ludzie sami przychodzą, zwłaszcza młodzi, zwabieni atrakcyjniejszą produkcją, lżejszą pracą i lepszymi warunkami. Szczególne wzięcie mają fachowcy — absolwenci przyzakładowej szkoły zawodowej w Chodakowie.

Dalszy ciąg na str. 8

OBYCZAJE

Spotykam ich przed kioskiem. Stoją w miejscu słupem, nieruchomo jak posągi. Dziwni, napięci wewnętrznie ludzie. Czasem na ich widok ogarnia mnie szewska pasja. Człowiekowi się spieszy, chciałby złapać gazetę i pójść swoją drogą, a oni „totkowicze" stoją murem i nie przepuszczają. Kioskarz też zbytnio się nie spieszy. Coś tam od kuponów odrywa, coś bez przerwy stempluje, coś potwierdza i coś komuś wręcza. Celebruje to misterium z wyrazem kapłańskiej powagi na twarzy.

Na co liczą „totkowicze"?

Na łut szczęścia, uśmiech fortuny, liczą na gwiazdkę z nieba?

Może to hazardziści?

JAN BĄBIŃSKI

MILIONERZY Z PRZYPADKU

W zeszłym roku obroty **„Kukułeczki"** nie przekroczyły 10 mln złotych. Gra w nią średnio 10.000 osób tygodniowo. Żadnego nie ma porównania z katowicką **„Karoliną"**, która „przerabia" rocznie 120 mln złotych. Kudy jednak dwom panom „KK' do jednego pana **„Totka"**, który obraca się po niebotycznej wielomiliardowej już orbicie. W samej Łodzi dość regularnie obstawia „Totka" 50.000 osób. Bywają wśród nich zawodowcy. Grają metodą. Co tydzień wypełniają po kilkadziesiąt kuponów. Cała rodzina jest wówczas przy robocie. Później wszyscy pełni iście religijnego skupienia, wpatrują się w szklany ekranik. Nie mogą od tej magicznej skrzynki oderwać wzroku. W gardle wtedy zasycha. Żyły wychodzą z natężenia na czoło, bo też nic nie wiadomo proszę pana... los szczęścia, albo się trafi albo się nie trafi, jak nie dziś, to za tydzień, byle się nie zrażać, jednak są tacy, że wygrywają...

Czy jesteśmy hazardzistami?

Żeby stwierdzić, że koń jest mimo wszystko mały, trzeba wpierw zobaczyć afrykańskiego słonia. Bo wszystko jest względne. To jak z tą panienką, która spytana czemu tak często zmienia partnerów, odrzekła nieco zdziwiona:

— Jak to czemu, po to ich zmieniam, żeby wydłużyć skalę porównań i wybrać sobie w końcu odpowiednio dostosowanego męża.

Pamiętam co się działo na **„Batorym"**. U brzegów Danii oficer rozrywkowy otworzył „bingo" w dużej sali dancingowej. „Bingo" to rodzaj loterii. Takiej błyskawicznej. Stawiasz teraz, a za parę minut wynik ciągnienia jest już znany. W „bingo" gra cały Londyn i pół niemal Amsterdamu. W „bingo" gra cała Europa i pół prawie Ameryki. W „bingo" grają wszystkie północno-protestanckie kraje tego świata. Na **„Batorym"** do „bingo" przysiedli hurmem Holendrzy, Anglicy i Kanadyjczycy, ale z Polaków, to nie przysiadł nikt.

Wniosek?

Hazardzistami nie jesteśmy.

Mała wszakże do tego wniosku poprawka. **„Batory"** nie jest typowy. Na pełnym morzu **„Batory"** zerka wyłącznie na „zieleńce". To ważny wtedy dewizowiec. Interesują go dolary. Dla złotówek już tego poważania nie ma. Albo się ma zielonkawe money, albo się nie ma. Jak nie masz „zieleńców" to nosa do „bingo" nie wtykaj. Nie twój interes. Nie ta klasa i nie te progi. Więc **„Batory"** z braku typowości żadnym dowodem „przeciw" nie jest.

Typowe natomiast jest **Zagłębie Ruhry,** a już szczególnie typowe jest Essen z wszystkimi przedmieściami, których doprawdy tuziny. Essen przypomina na całych obszarach Łódź właśnie, a już zupełnie jest podobne do Chorzowa i Katowic. Na jednym z tych przedmieść, w **Essen-Karnap** zauważyłem rzecz zastanawiającą. Ujrzałem na ulicy długie kolejki. A to ci dopiero heca. Któż to taki stoi karnym szeregiem 30-metrowej długości i patrzy tak tępo przed siebie? Któż by inny jak nie „lottowicze". To armia wielka dużych i małych harazdzistów. To niestrudzeni pielgrzymi. To zaparci w sobie stójkowicze. Raz w tygodniu odbywają ten marsz z domu do kiosków. Raz w tygodniu stoją nieruchomo pełną godzinę przed kioskarzem, jak kiedyś stali na mustrze przed koszarowym kapralem. Mają już ten dryg. Mogą tak stać i nie mrugną nawet okiem. Stoją jak w 1948 r., kiedy to po wymianie pieniędzy stali z nowymi markami w ręku w długim niezmiernie rządku przed sklepem pana Richtera za kartoflami.

Herr Richter przekwalifikował się. Prowadzi dziś **„Lotto-Annahemstelle"**. Na kartoflach nikt już pieniędzy nie zbije, powiada pan Richter, co innego **„Lotto"**. W **„Lotto"** to już grają wszyscy.

Wszyscy? Czy aby na pewno?

— No, nie wszyscy — poprawia się pan Richter **— ale gdyby to ująć z punktu widzenia statystyki, to w „Lotto" gra co drugi obywatel naszej Bundesrepubliki. Wszyscy nie grają, no tak, ale nie ma rodziny, żeby ktoś z niej „Lotto" nie obstawiał. Gra ojciec i gra syn, a matka i córka to zwykle kibicują. Dokładnie to u nas wyliczono, że w każdym tygodniu stawia na „Lotto" 20 milionów obywateli ze wszystkich federalnych „Laender". Co tydzień**

Dalszy ciąg na str. 10

INFORMACJE

JUBILEUSZ PWN

W dniu 9 kwietnia br. o godz. 14 w sali KMPiK przy ul. Narutowicza 8/10 nastąpi otwarcie wystawy jubileuszowej zorganizowanej z okazji 25-lecia Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Wystawa czynna będzie codziennie do dnia 15 bm. w godzinach od 11 do 18.

WYSTAWY

Dzisiaj, 8 kwietnia o godz. 18 w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 86/88 odbędzie się otwarcie wystawy: Maciej Modzelewski — Grafika, malarstwo, zorganizowanej w ramach odbywającego się w Łodzi cyklu wystaw prezentujących tendencje nadrealne i metaforyczne w polskiej sztuce współczesnej. Natomiast w Ośrodku Propagandy Sztuki (Park Sienkiewicza) można zwiedzać Wystawę Plakatu.

BALET „TAM O'SHANTER" NA ŁÓDZKIEJ SCENIE

Leighton Lucas, William Donachie i Vassilie Trunoff przygotowują balet „Tam O'Shanter", którego premiera odbędzie się już w najbliższą sobotę i niedzielę w łódzkim Teatrze Wielkim. Poza tym w dalszej części wieczoru baletowego zobaczymy „Czar miłości" Manuela de Falli i „Concerto grosso" Bolesława Szabelskiego. Kierownikiem muzycznym wieczoru baletowego będzie Bogusław Madey.

ARTUR RUBINSTEIN ODZNACZONY W USA

Prezydent USA Gerald Ford wręczył w ub. czwartek w Białym Domu Medal Wolności, najwyższe amerykańskie odznaczenie cywilne Arturowi Rubinsteinowi.

Uroczystość odznaczenia wybitnego pianisty, który urodził się w Łodzi w 1887 r. odbyła się w obecności zaproszonych gości, reprezentujących amerykański świat kultury, a zwłaszcza muzyki.

VICTORIA DE LOS ANGELES W WARSZAWIE

Hiszpańska śpiewaczka Victoria de Los Angeles 5 bm. w Teatrze Wielkim w Warszawie wykonała arie i pieśni — od dawnych mistrzów do muzyki współczesnej, m. in. utwory Marcella, Schuberta, Debussy'ego i Granádosa. Znakomita wokalistka zaliczana jest do grona najlepszych śpiewaczek XX wieku. Jej największe sukcesy związane są ze sceną operową. Victoria de Los Angeles występowała w Metropolitan Opera w Nowym Jorku, Covent Garden w Londynie, mediolańskiej „La Scali". Nagrywa ona też wiele płyt, spośród których nagranie „Manon" Masseneta zdobyło Grand Prix du Disque Akademii Płytowej w Paryżu.

PIERWSZE „CESARY" ROZDZIELONE

Przed kilku dniami odbyła się uroczystość wręczenia nagród Francuskiej Akademii Sztuki i Techniki Filmowej. Po raz pierwszy za przykładem amerykańskiej Akademii Filmowej nadano w roku bieżącym 13 „Cesarów".

Romy Schneider otrzymała „Cesara" jako odtwórczyni najlepszej roli kobiecej w filmie „L'important c'est d'aimer". Za najlepszego aktora został uznany Philippe Noiret, który gra główną rolę w nagrodzonym filmie roku 1975 „Le Vieux Fusti" Roberta Enrico. Film ten uzyskał „Cesara" również za najlepszą muzykę. Kompozytor Francois de Raubaix zginął niedawno w wypadku. Film „Profumo di donna" włoskiego reżysera Dino Rossi został uznany za najlepszy film zagraniczny.

Laureaci zostali wyłonieni w dwóch turach w głosowaniu tajnym przez 950 członków paryskiej Akademii Sztuki i Techniki Filmowej. Nagroda honorowa („Cesar") w formie małej statuetki nosi nazwę od imienia jej twórcy, rzeźbiarza Cesara Baldacoiniego.

XI OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL POEZJI W ŁODZI

Urząd m. Łodzi — Wydział Kultury i Sztuki, Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi organizują w ramach VIII Łódzkiej Wiosny Artystycznej w dniach 4—5 czerwca 1976 roku XI Ogólnopolski Festiwal Poezji.

W intencji organizatorów XI Festiwal ma rozpocząć nowy cykl ogólnopolskich spotkań poetyckich, poświęconych tradycjom poezji polskiej i ich znaczeniu dla twórców współczesnych. XI Festiwal stać będzie pod znakiem romantyzmu. Jego hasło: romantyzm dzisiaj?

Festiwal ma być jednocześnie platformą wymiany poglądów na temat funkcji poezji, jej roli społecznej i miejsca poety we współczesności.

Z okazji XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji ogłoszony zostaje Konkurs Poetycki na zasadach określonych w załączonym regulaminie.

REGULAMIN

I. Urząd M. Łodzi — Wydział Kultury i Sztuki, Związek Literatów Polskich — Oddział w Łodzi i Wydawnictwo Łódzkie ogłaszają z okazji XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, który odbędzie się w Łodzi w dniach 4—5 czerwca 1976 r.
   1. Konkurs na nie publikowany utwór poetycki (wiersz i prozę poetycką).
   2. Konkurs na debiutancki tom wierszy pretendujący do wydania.
   3. Konkurs na dramat sceniczny.

   W konkursach preferowane będą utwory o tematyce patriotycznej i obywatelskiej stojące na wysokim poziomie artystycznym. Nagrodzony tom wierszy zostanie wydany w roku 1977 przez Wydawnictwo Łódzkie i opatrzony obwolutą: „Nagroda Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi". Konkurs na dramat sceniczny jest konkursem perspektywicznym, a jego rozstrzygnięcie nastąpi na kolejnym, XII Festiwalu Poezji w roku 1977.

II. W dwóch pierwszych konkursach mogą wziąć udział poeci nie będący członkami Związku Literatów Polskich. Trzeci konkurs — na dramat sceniczny — zakłada również udział członków ZLP.

III. Ilość nadesłanych utworów przez jednego autora jest nieograniczona.

IV. Utwory winny być sporządzone w formie maszynopisu w trzech egzemplarzach oraz zaopatrzone w godło autora.

V. Utwory nadsyłać należy do Sekretariatu Festiwalu na adres: Łódzki Dom Kultury — Dział Programowania, 90-113 Łódź, ul. Traugutta 18. Do tekstów winna być załączona koperta zawierająca godło auto, jego imię i nazwisko oraz dokładny adres.

VI. Termin nadsyłania wierszy i tomików pretendujących do wydania upływa w dniu 5 maja 1976 roku, a dramatów scenicznych — w dniu 31 marca 1977 roku. O terminie wpływu utworów decyduje data stempla pocztowego.

VII. Utwory nie odpowiadające warunkom, o których mowa wyżej, nie będą przedmiotem oceny Sądu Konkursowego.

VIII. Nadesłane utwory nie podlegają zwrotowi.

IX. Ocena utworów, których autorzy nie uzyskali nagród, nie zostanie ujawniona przez Sąd Konkursowy nawet samym zainteresowanym.

X. Ogłoszenie wyników konkursu nastąpi w pierwszym dniu XI Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, tj. w dniu 4 czerwca 1976 r.

NAGRODY

I. W konkursie przewiduje się następujące nagrody:

1. za wiersz lub prozę poetycką:
- **I nagroda — 3.000**
- **II nagroda — 2.000**
- **dwie III nagrody po — 1.000**

2. za debiutancki tom wierszy pretendujący do wydania — nagroda w wysokości — 10.000 zł.

3. za dramat sceniczny:
- **I nagroda w wysokości — 15.000**
- **II nagroda w wysokości — 10.000**
- **III nagroda w wysokości — 5.000**

II. Organizatorzy zastrzegają dla Sądu Konkursowego prawo nie przyznania nagród bądź dokonania innego podziału nagród.

SĄD KONKURSOWY

I. O przyznaniu nagród decyduje co najmniej 9-osobowy Sąd Konkursowy powołany przez organizatorów spośród wybitnych poetów i krytyków, przy czym w skład Sądu Konkursowego wchodzą ponadto przedstawiciele organizatorów Festiwalu oraz przedstawiciel Wydawnictwa Łódzkiego.

II. Sposób ukonstytuowania się Sądu Konkursowego oraz ustalenie kryteriów i zasad dokonania oceny utworów należy do Sądu Konkursowego.

III. Skład Sądu Konkursowego podany zostanie w terminie późniejszym.

TELEWIZJA

KRÓLIKIEWICZ

Była to jedna z najciekawszych, jeśli nie najciekawsza audycja telewizyjnej publicystyki kulturalnej ostatnich lat. Sobota, 3 kwietnia, godzina 18.00, II program TVP — „Godzina Grzegorza Królikiewicza".

Są artyści, pisarze, reżyserzy, plastycy, którzy niechętnie mówią o swojej twórczości. Chowają się za swoje utwory, im jedynie powierzając to, co mają ludziom do powiedzenia. Jest to postawa tradycyjna, niejako klasyczna. W tej tradycji dzieło jest jedynym świadectwem artysty. Jeśli nawet uprawia on refleksję teoretyczną, to czyni to dla własnej potrzeby wewnętrznej, dla zracjonalizowania samemu sobie egzystencjalnego niepokoju, dla uporządkowania swojej wiedzy o świecie, o relacjach pomiędzy sztuką i życiem, dla rozpoznania moralnych wartości. Postawa ta milcząco zakłada porozumienie twórcy z publicznością, do której się zwraca i oznacza pobyt w świecie wspólnych sądów o rzeczywistości. Istnieje jednakże również inna tradycja, jej rodowód można by wywieść z kultury romantycznej, lecz świadkiem jej kulminacji jest wiek XX, epoka błyskawicznych przemian w sztuce, niespokojny okres kolejnych awangard artystycznych, które odznaczają się przy całej różnorodności jedną wspólną cechą — wszystkie utraciły kontakt ze społeczeństwem. Uprawiały bowiem twórczość hermetyczną i przemawiały językiem odległym od dotychczas przyjętych kanonów w sztuce.

Przypominam tutaj rzeczy oczywiste tylko dlatego, że casus Grzegorza Królikiewicza można podstawić pod ten wzór nader precyzyjnie. Tym precyzyjniej, że Królikiewicz uprawia sztukę filmową poddaną ogromnemu ciśnieniu masowych oczekiwań i powinności i właśnie w tej sztuce, a nie innej pragnie bez cienia kompromisu ocalić to, co ma z siebie do przekazania. Królikiewicz nie lęka się magii cyfr, która terroryzuje i fałszuje intencje innych filmowców. I nie dlatego, że ma własną koncepcję widowni (bo ta mu się jednak nie sprawdza), ale dlatego, że pragnie walczyć o prawo do artystycznej autonomii.

Stworzył i tworzy cały szereg spektakli obrazujących znane z historii mity heroiczne (Kolumb, Giordano Bruno, Galileusz, Faust), który zainscenizował z całym dramatyzmem ludzkiego losu, ale również z ogromną sugestią humanistyczną. Tymczasem w filmie pragnie mówić wyłącznie o sobie i dla swojej wizji świata poszukuje odpowiednich form wyrazu. Uprawia kino szokujące formalnie, stające na przekór wszystkim dotychczasowym regułom poetyki filmu, prowokuje widza i wypłasza go z kin. Skomplikowana forma jego dwóch dotychczasowych filmów fabularnych (zwłaszcza „Wiecznych pretensji") kryje w sobie równie skomplikowany sens i broni doń przystępu, a przecież bez tej formy ten sens byłby nie do pomyślenia.

Jest to twórczość bezwzględnie oryginalna i — jak przypuszczam — wybitna. Ale — odpowiadają liczni oponenci reżysera, którzy zarzucają mu bełkot i humbug — jak wartość tej twórczości udowodnić? Otóż jest to trud daremny w ich obecności, ponieważ mówimy różnymi językami, inaczej rozumiemy rzeczywistość i różną mamy wrażliwość. Można im jedynie doradzić przeprowadzenie zakładu Pascala i przypomnieć już nie los artystów nierozumianych i docenionych dopiero po śmierci, lecz przypadek bliższy, bo współczesny i rodem z kinowej sali. Bezsprzecznie najwybitniejszy reżyser współczesnego kina Antonioni został przed zaledwie 16 laty wygwizdany przez krytykę filmową i koneserską publiczność za film „Przygoda", dziś dzieło klasyczne. Myślę, że z filmami Królikiewicza — toutes proportions gardees — dzieje się coś podobnego.

Stąd zresztą bierze się też nienawistna wręcz nieufność tego reżysera do krytyki filmowej, w której kompetencje już dawno zwątpił i sam lansuje interpretacje swoich utworów. Jest on bowiem nie tylko reżyserem filmowym, ale także, co rzadko idzie w parze z tą profesją, intelektualistą. Słuchając wywodów Królikiewicza odnosiłem wrażenie wyjątkowo silnej więzi pomiędzy jego osobowością a jego twórczością. Nie chodzi tylko o to, że sztuka jest dla niego jedynym sposobem istnienia, ale o tę wyczuwalną na każdym kroku obawę, aby nie przeciąć pępowiny łączącej jego psychikę, intelekt z utworem. On jakby bał się poddać film społecznej konfrontacji bez osobistej protekcji. Ta niepewność, o której Królikiewicz mówił ze zdumiewającą szczerością wynika stąd, że film jest dla niego środkiem rozpoznania samego siebie. Tu także dotykamy istoty tej twórczości, w której twarz artysty daje nam możliwość poznania nas samych. Jest to jednakże ten stopień stężenia prawdy, który tylko nieliczni przed ekranem wytrzymują.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

Jerzy Wawrzak

SZTUKA I ŻYCIE

1.

10-dniowy wypad do Moskwy i Leningradu (sprawozdanie dla Czytelników w toku) uniemożliwił mi udział w kilku (aż) interesujących imprezach. Przejrzałem stos zaproszeń i nie pierwszy raz, ale chyba szczególnie wyraźnie uzmysłowiłem sobie, jak żywe jest tętno życia kulturalnego w naszym mieście. Ale zaraz od pierwszego dnia po powrocie zacząłem kibicować serii imprez; o dwóch poniżej.

2.

Łódzki Odział ZLP przy organizacyjnej współpracy Wydawnictwa Łódzkiego próbuje powrócić do praktykowanego kiedyś z pożytkiem zwyczaju „przedstawiania" nowych książek WŁ autorstwa łódzkich pisarzy. Serie tych spotkań rozpoczęła impreza poświęcona książce Władysława Orłowskiego „Cudza miłość, cudze cierpienie. Książkę, która jest powieściowym debiutem znanego dramaturga, przedstawił interesująco krytyk literacki, dr Jerzy Tynecki z Uniwersytetu Łódzkiego. W dyskusji zwrócono uwagę na edytorskie, artystyczne i ideowo-moralne walory utworu, z niewątpliwym pożytkiem dla wszystkich zainteresowanych: autora, wydawcy i uczestników spotkania. Wydawcy i pisarze słusznie zwracali uwagę na potrzebę poszerzenia takich spotkań o czytelników-nieprofesjonalistów.

3.

Dwa dni później spotkanie w Muzeum Miasta Łodzi z Janem Koprowskim. Bardzo mnie to spotkanie zdegustowało z jednego powodu — frekwencji. Koprowski jest człowiekiem znanym, zwłaszcza w Łodzi, gdzie mieszkał 22 lata i nie tylko mieszkał, lecz aktywnie działał, kierując przez ostatnie lata „Odgłosami". Obecnie jest sekretarzem ZG ZLP, zastępcą naczelnego redaktora „Literatury". Na spotkanie zaproponował temat b. ciekawy „Recepcja literatury i sztuki polskiej za granicą", a jest do tego tematu, z racji swoich kontaktów i zainteresowań, człowiekiem wyjątkowo kompetentnym. I cóż z tego. Mimo anonsów w prasie codziennej na spotkanie do pięknej Sali Wielkiej przyszła tylko garstka osób, w większości znajomych prelegenta. Organizatorzy tych pożytecznych w zamyśle imprez powinni z tego faktu wyciągnąć jakieś wnioski.

4.

Reperkusje zorganizowanej dwa tygodnie temu dyskusji na naszych łamach z okazji Dnia Teatru. Opinie nie najlepsze i zgadzam się z nimi w znacznym stopniu. Czy takie oświadczenie może dziwić? Nie musi. Tego roku postanowiliśmy uhonorować święto ludzi teatru obszerną dyskusją, dwie kolumny oddaliśmy do dyspozycji łódzkim krytykom teatralnym. Opieraliśmy się na słusznym niewątpliwie założeniu, że święto, to okazja nie do składania laurkowych powinszowań, ale próba oceny i bilansu dokonań naszych scen dramatycznych. Zaprosiliśmy więc fachowców na dyskusyjną trybunę z zaufaniem do ich wiedzy zawodowej i społecznej odpowiedzialności za oceny, które publicznie wypowiadają. (W dyskusji nie wziął udziału ze znanych tylko jemu powodów red. Henryk Pawlak z „Głosu Robotniczego"). Opublikowaliśmy tę rozmowę bez żadnych ingerencji ze strony redakcji, nawet bez komentarza. Reakcja ludzi teatru i czytelników skłania mnie jednak do osobistego zajęcia stanowiska, podzielenia się swoimi wątpliwościami, które miałem od początku kwalifikując tekst rozmowy do druku. Uznałem go za potrzebny, mimo iż bardziej (wg mnie) świadczy on o stanie krytyki teatralnej w Łodzi niż życiu teatralnym naszego miasta. Dobre i to, ale...

Spodziewałem się dyskusji, dyskusji, a więc głównie tego, co jest jej sensem: starcia poglądów, konfrontacji postaw, konstruktywnych wniosków. Natomiast wysłuchaliśmy chóru, zgodnie brzmiącego w jednej tonacji. Chóru zafascynowanego wprost bezkrytycznego wobec propozycji Kazimierza Dejmka. Osobiście bardzo cenię twórczość tego wybitnego artysty, ale na jego miejscu byłbym zakłopotany tak zasadniczym przeciwstawieniem Teatru Nowego pozostałym łódzkim scenom. Nie wdając się w szersze dywagacje dodam jeszcze, że nie tylko ja z niepokojem obserwuję linię repertuarową tego teatru. Jeśli zaakceptować ją jako próbę (udaną) przerzucenia pomostu do publiczności nazwiskami działającymi jak magnes, to jednocześnie wolno chyba postulować na przyszłość konieczność poszerzenia repertuaru o np. dramaturgię sensu stricto współczesną, bezpośrednio zaangażowaną w nasze, polskie sprawy, egzemplifikowane realiami nam bliskimi i sprawdzalnymi doświadczeniem społecznym widza. Szkoda, że nikt z krytyków tego Dejmkowi nie powiedział.

Myślę też, że nie całkiem obiektywnie potraktowano Teatr im. Jaracza i Teatr Powszechny. Zwłaszcza Teatr Powszechny, który pod nowym kierownictwem Romana Kłosowskiego podejmuje z powodzeniem próby wyjścia z dotychczasowej inercji. Zwłaszcza porównanie „Szwejka", propozycji pod każdym względem udanej i ambitnej — z „Trędowatą" (czego dokonał Jerzy Panasewicz) jest horrendalnym nieporozumieniem. Mówiono wprawdzie o dokonaniach, ale plany repertuarowe Teatru Powszechnego, które zna teatralna publiczność, skłaniają do przeświadczenia, że właśnie na tej scenie następuje autentyczna konfrontacja poglądów na rolę i funkcję teatru współczesnego z rzeczywistością.

5.

Jeśli tak dalej pójdzie, wróżę powodzenie Teatrowi Propozycji Domu Środowisk Twórczych. Pisałem już o założeniach tej sceny, dzisiaj o wrażeniach uczestnika drugiej premiery. Była nią sztuka Apoloniusza Zawilskiego, znanego dotąd wyłącznie jako prozaika, mimo iż kilka dramatów posiada w szufladzie. Ostatni z nich „Polacy w Ameryce" mógł zostać publicznie zaprezentowany właśnie dzięki powstaniu takiej sceny jak Teatr Propozycji.

To, co napisał Zawilski, a jeszcze bardziej uściślił scenicznie i wyreżyserował Bohdan Mikuć, to wzorcowy niemal teatr faktu. Podkreślił to także sam autor w podtytule sztuki: „sprawozdanie sceniczne z 9 Konwencji Polonii Amerykańskiej, Detroit, 1972".

Byliśmy więc świadkami „Konwencji" zainscenizowanej prosto, zgodnie z logiką wydarzeń. Prezydium, mównica, flagi polskie i amerykańskie, delegaci na forum, w komisjach etc. Aktorzy potraktowali rzecz całą bardzo poważnie (I. Pieńkowska, T. Schmidt, W. Jawis, M. Stanisławski, W. Dewoyno, B. Bolkowski i student PWSF TiTV H. Reszczyński) a fakt, że czytali teksty (co jest zasadą w tym teatrze) stwarzał nawet wrażenie większej autentyczności. (Na „prawdziwych" zebraniach też z reguły dyskutanci czytają z kartek).

W sumie, co potwierdziła dyskusja z udziałem autora i twórców spektaklu, z uznaniem przyjęto sztukę Zawilskiego, podkreślając jej walory poznawcze jak i przyjętą koncepcję realizacyjną. Udany wieczór, oby więcej takich.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji).
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI–GLANC

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KOMU GAZETĘ?

Nawet najbardziej skrupulatny i pilny czytelnik polskiej prasy nie jest w stanie zorientować się w tym wszystkim, co ukazuje się w całym kraju. To bowiem, co możemy obejrzeć w pierwszym lepszym kiosku „RUCH" jest tylko częścią tego, co schodzi z maszyn drukarskich, i dociera do różnych czytelników. Obok dzienników i tygodników przeznaczonych dla poszczególnych rejonów kraju, obok pism obejmujących swoim zasięgiem cały kraj, ukazują się czasopisma przeznaczone dla poszczególnych grup zawodowych, środowisk, a nawet pisma dla hobbystów. W tym bogactwie wydawanych u nas periodyków ważne miejsce zajmuje prasa zakładowa.

W **Bydgoszczy** dla tamtejszych załóg ukazuje się **12 gazet**. Na **Śląsku — 56. W Łodzi — 4** oraz jedno pismo w województwie łódzkim miejskim.

„ECHA ELTY" — najstarsze łódzkie pismo zakładowe. Ukazuje się już piąty rok.

„NASZA TRYBUNA" — początkowo organ Samorządu Robotniczego ŁZPB im. Obrońców Pokoju „Uniontex", obecnie organ załogi tej fabryki. Wychodzi od lipca 1973 roku.

„NASZE PERSPEKTYWY" — gazeta załogi ZPB im. Armii Ludowej „Alba". Wychodzi od połowy 1974 roku.

„GŁOS WŁÓKNIARSKI" — organ Samorządu Robotniczego ZPB im. J. Marchlewskiego „Poltex". Ukazuje się od listopada 1974 roku.

„INFORMATOR" — najstarsza gazeta zakładowa w województwie łódzkim miejskim. Organ załogi PZPB im. Bojowników Rewolucji 1905 roku w Pabianicach. Ukazuje się już 17 rok.

1.

Można spodziewać się pytania: **jaki jest społeczny sens wydawania gazet zakładowych, przeznaczonych w gruncie rzeczy dla wąskiego kręgu odbiorców, skoro wiadomo, że gazet w ogóle brakuje?** Pytanie to będzie tym bardziej uzasadnione, gdy Czytelnik dowie się, że na przykład **„ECHA ELTY"** i **„INFORMATOR"** ukazują się raz w miesiącu, a pozostałe gazety — dwa razy w miesiącu. Poza tym **„ECHA ELTY"** i **„INFORMATOR"** przekazywane są załodze bezpłatnie, a pozostałe kosztują 50 groszy. A mimo to pytanie to jest tylko pozornie uzasadnione.

Przede wszystkim trzeba stwierdzić, że gazety zakładowe choć niektóre ukazują się od niedługiego czasu, **zyskały sobie popularność** i są oczekiwane przez załogi zakładów, które podjęły ryzyko posiadania własnego pisma. Dzieje się tak przede wszystkim dlatego, że gazety zakładowe **uzupełniają system prasowy**, jaki funkcjonuje w województwie łódzkim, wypełniają naturalną lukę, jaka w tym systemie istnieje. Czytelnik poszukuje bowiem w gazecie wiadomości ze świata, z kraju, jak i tych, które dotyczą jego środowiska, jego spraw najbliższych. Redakcje ciągle są bombardowane postulatami, aby o

tym, czy innym przedsiębiorstwie pisać więcej. Nie są jednak w stanie tym postulatom sprostać. Rolę tę natomiast spełniają właśnie gazety zakładowe. Czy spełniają ją w sposób dostateczny? — to zupełnie inna sprawa.

K. G. Gior w książce **„Informacja — propaganda — opinia publiczna"** (Książka i Wiedza, Warszawa — 1974 r.) stoi na stanowisku, że gazeta spełnia swoją rolę wtedy, jeśli przynosi **aktualne informacje, działa w sposób operatywny, zachowuje nieprzerwany sposób informowania, prezentuje publicystyczną uniwersalność i spełnia postulat społecznego zróżnicowania przekazywanych informacji i publicystyki.** Cechy te wymienione przez K. G. Giora dotyczą każdej gazety. Jednakże z różnych przyczyn w redakcyjnej praktyce kładzie się większy nacisk na coraz to inne cechy. W przypadku gazet zakładowych na pierwszy plan wysunąłbym przede wszystkim **postulat społecznego zróżnicowania informacji i publicystyki.** Gazety i pisma adresowane do szerokiego i różnorodnego odbiorcy muszą z konieczności być bardziej **uniwersalne.** Gazety zakładowe natomiast adresowane do jednorodnego środowiska, chociaż też zróżnicowanego poziomem wiedzy, mogą koncentrować swoją uwagę na tych sprawach, które przede wszystkim interesują lub powinny interesować ich czytelników.

Trzeba przy tym pamiętać, że gazety te ukazują się obok innych, a więc z jednej strony są zwolnione od szerszego pisania o tym, o czym pisze cała prasa, nie powinny jej dublować, ale — z drugiej strony — nie mogą zasklepiać się w zbyt wąskich, partykularnych ramach. Przed redakcjami gazet zakładowych staje nieustannie dylemat: **o czym i jak pisać?**

W **„INFORMATORZE"** pabianickiego „Pamotexu" na przykład jeden z uczestników kilkudniowego szkolenia w szwajcarskiej firmie Benninger dzieli się z czytelnikami tego pisma wrażeniami z pobytu w Szwajcarii. Podobnie **„GŁOS WŁÓKNIARSKI"** łódzkiego „Poltexu" publikuje wrażenia z pobytu zakładowej delegacji w NRD. Są to jednak wrażenia turystyczne nie wzbogacają one wiedzy czytelnika o tych krajach, gdyż są powierzchowne. Sądzę, że czytelnik chętniej dowiedziałby się, czego nowego nauczyli się jego koledzy w czasie pobytu za granicą, co z doświadczeń przywiezionych zza granicy będzie można wykorzystać we własnej fabryce.

Gazety zakładowe są obowiązane informować załogi o tym wszystkim, co ważnego dzieje się w przedsiębiorstwie. I zadanie to spełniają. Ale lektura tych gazet przekonuje, że **informowanie załóg o życiu przedsiębiorstwa nie jest wcale sprawą łatwą.** W życiu fabryki, jak każdego organizmu społecznego, zdarzają się sprawy większe, podstawowe i mniejsze, marginesowe. Niezbędna jest selekcja, ale tej selekcji częstokroć nie ma. Informuje się bowiem niemal w jednakowy sposób o istotnych dla fabryki zdarzeniach, jak i przedrukowuje się niekiedy protokoły z zebrań różnych sekcji i organizacji. A przecież nie o to wcale chodzi.

Gazety zakładowe są bowiem **ważnym ogniwem w procesie kształtowania świadomości załogi,** są środkiem oddziaływania na tę załogę, a jednocześnie **powinny stanowić forum dla wyrażania jej opinii i postulatów.** Powinny być miejscem dla wyrażania różnych poglądów, powinny **stanowić płaszczyznę dla dyskusji o sprawach fabryki.** Niestety, nic takiego nie dzieje się na łamach łódzkich gazet zakładowych. Ich uważny czytelnik może dojść do wniosku, że w fabrykach, dla załóg których ukazują się one, dzieje się wszystko jak najlepiej, nie ma żadnych problemów, kłopotów i trudności.

— A coś ty chciał — powiedział jeden z moich rozmówców — **aby dyrekcje, które fundują gazety swoim załogom płaciły jeszcze za krytykę własnych poczynań?**

Nie o to przecież chodzi. Jeśli przyjmiemy, że podstawową funkcją gazet zakładowych **jest kształtowanie świadomości załogi,** to nigdy tej funkcji nie będą one mogły należycie wypełniać, przemilczając to wszystko, o czym mówi się w palarni, pokoju śniadaniowym, w szatni, czy w drodze do lub z pracy, czym żyje załoga, co ją nurtuje, co jej przeszkadza w realizacji zadań produkcyjnych.

2.

W tym miejscu rodzi się inne pytanie: **czy 5 gazet zakładowych, wychodzących w Łodzi i Pabianicach jest obecnie w stanie, przy ich poziomie organizacyjnym, wypełniać należycie swoje zadania i funkcje?** Jest to pytanie niewątpliwie istotne i uzasadnione. Ale — niestety — odpowiedź na nie musi być negatywna.

Dlaczego?

Przede wszystkim dlatego, że łódzkie, i pabianicka — gazety zakładowe, mimo iż wychodzą już od dłuższego czasu, a dwie z nich po kilka lat, znajdują się ciągle w **początkowym stadium swego rozwoju.** Powstają one w prymitywnych warunkach, bardziej na zasadzie uporu i dobrej woli ludzi, którzy nad ich powstawaniem pracują niż w wyniku funkcjonowania właściwie zorganizowanej pracy redakcyjnej.

Gazety zakładowe na Śląsku na przykład dysponują zespołami zawodowych dziennikarzy, którzy mają czas na penetrowanie fabryki, poznawanie spraw, które nurtują załogę. Na podobnych zasadach pracuje wiele innych gazet tego typu. Łódzkie gazety zakładowe takich możliwości nie posiadają. Nie dysponują one zespołami dziennikarskimi zdolnymi do wnikliwej penetracji fabryki i jej problemów. Przedsiębiorstwa, które zdecydowały się posiadać własne pisma, zatroszczyły się o ludzi, którzy wyłącznie swój czas poświęcają redagowaniu pism, przyciągając również do współpracy dziennikarzy pracujących etatowo w innych łódzkich redakcjach.

I tak: naczelnym redaktorem **„NASZEJ TRYBUNY"** w „Uniontexie" jest **Edward Müller,** który tę funkcję pełni etatowo. Naczelnym redaktorem **„GŁOSU WŁÓKNIARSKIEGO"** w „Poltexie" jest **Józef Henryk Wiśniewski,** który również funkcję tę pełni etatowo. Przy redagowaniu **„GŁOSU WŁÓKNIARSKIEGO"** współpracuje też **Mieczysław Stolarski** z „Dziennika Popularnego". Natomiast **„ECHA ELTY"** redaguje **Jerzy Palka** z „Głosu Robotniczego", a przy wydawaniu **„NASZYCH PERSPEKTYW"** w „Albie" współpracują **Adam Bieńkowski** z „Karuzeli" i **Leokadia Wierczewska** z „Expressu Ilustrowanego".

W odmiennej sytuacji jest **„INFORMATOR"** pabianickiego „Pamotexu", który jest redagowany, wydawany i drukowany własnymi siłami fabryki.

Wszystkie pisma obowiązane są do posiadania kolegiów redakcyjnych. I wszystkie je posiadają, jakkolwiek praca kolegiów różna jest w różnych gazetach zakładowych. Kolegia redakcyjne powinny pełnić rolę organów programujących i opiniujących pracę redakcji. W niektórych przypadkach przy szczupłości zespołów redakcyjnych przejmują one ich funkcję.

Jednakże mimo tych braków gazety zakładowe cieszą się dużą popularnością. W ubiegłym roku **„NASZE PERSPEKTYWY"** przeprowadziły wśród swoich czytelników ankietę. Wzięło w niej udział 985 osób. Spośród wszystkich ankiet wybrano 100 i poddano je analizie. Okazało się, że na 100 odpowiadających na ankietę **„NASZYCH PERSPEKTYW":**

— 93 osoby regularnie czyta pismo,

— 96 osobom odpowiada obecna forma gazety.

— 79 osobom odpowiada zakres prezentowanej tematyki.

Ale jednocześnie pośród tych samych 100 odpowiadających na ankietę **„NASZYCH PERSPEKTYW":**

— 76 osób wolałoby, aby więcej pisano o problemach modernizacji fabryki,

— 70 osób wolałoby, aby też więcej pisano o sprawach socjalnych załogi,

— 50 osób — o sporcie i kulturze.

Z tej niepełnej ankiety wynika prosty wniosek, że gazety zakładowe są niewątpliwie potrzebne załogom, ale też mimo popularności, jaką się cieszą, niezbędne jest ich dalsze doskonalenie.

3.

Co robić, aby to dość ważne ogniwo w kształtowaniu świadomości ludzi pracy, ważne ogniwo propagandy udoskonalić, podnieść jego pracę na wyższy poziom?

Pierwszym działaniem powinno być wprowadzenie **jednolitego organizacyjnego systemu redagowania i wydawania** gazet zakładowych. Obecnie panuje w tej dziedzinie zbytnia dowolność, która staje się czynnikiem hamującym rozwój gazet zakładowych. Dlatego niezbędne jest zapewnienie tym gazetom fachowej **opieki Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch".** Przejęcie prasy zakładowej przez RSW „Prasa-Książka-Ruch" nie powinno w niczym zwolnić przedsiębiorstw, które podjęły ryzyko posiadania własnych gazet, od ich dalszego finansowania, ale poprzez wydawnictwa prasowe.

Łódzkie gazety zakładowe drukowane są w **Zakładach Prasowych RSW „Prasa-Książka-Ruch".** Wyjątek stanowi tylko pabianicki **„INFORMATOR".** Ale drukowane są niejako poza harmonogramem, w przerwach, w wolnych chwilach. Odbija się to ujemnie na rytmiczności ukazywania się tych gazet oraz na ich poziomie. Z potrzeby przezwyciężenia tej słabości narodziła się koncepcja powołania **jednej, wspólnej dla wszystkich pism zakładowych redakcji technicznej wraz ze wspólną korektą.**

Propozycję tę można byłoby rozszerzyć o postulat **powołania przy Łódzkim Wydawnictwie Prasowym RSW „Prasa-Książka-Ruch" jednej, równie wspólnej dla wszystkich pism zakładowych redakcji, która miałaby swoje oddziały w zakładach pisma te finansujących.** Takie rozwiązanie pozwoliłoby przezwyciężyć występujące obecnie trudności kadrowe, a także stworzyć możliwość skupienia wokół pism zakładowych większej ilości dziennikarzy. Jedna — nazwijmy ją naczelna — redakcja gazet zakładowych pozwoliłaby też na prowadzenie bardziej precyzyjnej polityki redakcyjnej przynajmniej w przypadku gazet wydawanych dla zakładów przemysłu lekkiego, wyrażającej się w tym, że niektóre artykuły o zasadniczym znaczeniu dla tej dziedziny przemysłu można byłoby publikować jednocześnie w kilku pismach.

Taka koncepcja umożliwiłaby też wielu młodym dziennikarzom odbywanie stażu zawodowego w pismach zakładowych, co wpłynęłoby dodatnio na ich przygotowanie zawodowe i społeczno-polityczne. Przy obecnym stanie organizacyjnym postulat przekształcenia gazet zakładowych w poligon doświadczalny dla młodych dziennikarzy jest postulatem nierealnym. Po prostu nie ma kto tych dziennikarzy szkolić.

Zwraca się na przykład uwagę, że przy **Łódzkim Oddziale Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich powinien działać klub dziennikarzy pracujących w pismach zakładowych.** Postulat słuszny, ale w sytuacji, kiedy większość dziennikarzy współpracujących przy wydawaniu gazet zakładowych pełni jeszcze inne obowiązki

oraz należy do innych klubów SDP — jest postulatem nierealnym i niemożliwym do wypełnienia.

Prasa zakładowa — jak już powiedziałem — stanowi ważne ogniwo w systemie propagandowym i ważne ogniwo kształtowania postaw ludzi pracy. Aby mogła ona spełnić swoje zadanie musi być nieustannie doskonalona. Gazeta zakładowa, aby mogła spełniać swoją rolę nie może ukazywać się na zasadzie ubogiego krewnego w stosunku do reszty prasy. A więc czas dokonać następnego kroku w rozwoju tego rodzaju prasy, przejść ze wstępnego etapu organizacyjnego na wyższy. I jest to zadanie, z którym muszą uporać się nie tylko ludzie gazety te redagujący, ale w rozwiązaniu którego trzeba oczekiwać pomocy zarówno od „patronów", organizacji partyjnych, jak i środowiska dziennikarskiego.

NIE TYLKO HISTORIA

RABELAIS

Michaił Bachtin — to nazwisko do niedawna mówiło nam niewiele i poza specjalistami od zagadnień poetyki, którzy od wielu lat wymieniają je często i z szacunkiem, mało kto zdołał się zapoznać z poglądami, głoszonymi przez tego wybitnego radzieckiego humanistę. Jego książka o twórczości François Rabelais, wydana pierwotnie w Moskwie w 1965 r., dociera dziś do nas jak gdyby rykoszetem: dawno już została przetłumaczona na francuski. Drażni nieco to spóźnienie, zwłaszcza że mamy do czynienia z dziełem doprawdy nietypowym, mającym znaczenie nie tylko dla poznania twórczości autora „Gargantui i Pantagruela", ale istotnym dla ogólniejszych, jakże wciąż dyskutowanych zagadnień humanistyki. Stanisław Balbus, który poprzedził polski przekład dzieła M. Bachtina „Twórczość Franciszka Rabelais'go a kultura ludowa średniowiecza i renesansu" (Wydawnictwo Literackie 1975) obszernym i wnikliwym wstępem, dokonał subtelnej analizy dorobku radzieckiego uczonego jako literaturoznawcy, mniej zastanawiając się nad jego kontaktami z historiografią. Taka optyka wyniknęła z naukowej specjalizacji autora wstępu, można wszakże dopełnić jego spojrzenie innym punktem widzenia i zastanowić się nad bachtinowskim sposobem patrzenia na F. Rabelais w kontekście dawniejszych i współczesnych propozycji nauki historycznej. Byłoby to tym bardziej usprawiedliwione, że swój pogląd rozwijał M. Bachtin w konfrontacji również i z tymi propozycjami, jak na to wskazują karty jego książki, które zostały poświęcone dorobkowi Abla Lefranca, przede wszystkim zaś Lucien Febvre'a.

Właśnie: Lucien Febvre, to nazwisko nad którym trzeba by się zatrzymać. Wydane po raz pierwszy w okupowanym przez hitlerowców Paryżu dzieło wielkiego historyka francuskiego — historyka, podkreślam, nie literaturoznawcy — opatrzone prowokacyjnym tytułem: „Problem niewiary w XVI wieku. Religia Rabelais" (1942), tylko z pozoru stawiało problem na głowie. Mówić o „religii" takiego prześmiewcy, jak autor „Gargantui", czyż nie było to postawieniem zagadnienia do góry nogami? A jednak nie: L. Febvre dążąc do rekonstrukcji światopoglądu F. Rabelais zmierzał do wykazania, że nie mógł się on wyzwolić ze sposobów odczuwania świata i myślenia o nim, charakterystycznych dla kultury swojej epoki. A więc i jego antyreligijne czy antykościelne wypady i szermierki niejednokrotnie musiały być niczym innym, jak odwróceniem istniejących pojęć, przewróceniem do góry nogami ustalonego systemu hierarchii wartości, nie zaś tworzeniem nowej, od niego niezależnej. Wystąpienie L. Febvre'a miało doniosłe znaczenie metodologiczne: chodziło o to, aby wykazać niedostateczność tych kategorii pojęciowych, którymi posługiwała się rabelaistyka (istnieje już taki termin!) spod znaku wieloletniego jej przywódcy we Francji, przewodniczącego „Towarzystwa do Badań Twórczości Rabelais", wspomnianego już Abla Lefranca. Chodziło o to, by nie mierzyć dzieła i światopoglądu autora „Gargantui i Pantagruela" miarką mieszczańskiego racjonalizmu naszych czasów, co L. Fabvre niewątpliwie słusznie uważał za „grzech anachronizmu". M. Bachtin zgadza się z tą linią febvre'owskiej krytyki, ale... nie z nią samą: formułuje pod adresem obu francuskich adwersarzy zarzut, że ich przeciwstawne sobie twierdzenia „odwodzą nas od prawidłowego rozumienia artystycznego światopoglądu Rabelais", „odwodzą też od prawidłowego rozumienia całokształtu kultury szesnastowiecznej".

Bowiem postulatowi rozpatrywania dzieła w kategoriach historycznych, nie zaś współczesnych, godząc się w zupełności z tym, co powiedziano o niebezpieczeństwie anachronizmu w badaniach historyczno-literackich, nadaje M. Bachtin szersze znaczenie.

Te obserwacje i polemiki, to nie tylko próbka metody badawczej M. Bachtina jako badacza twórczości autora „Gargantui i Pantagruela". Jest w nich przecież propozycja, mająca ogólniejsze znaczenie również dla historycznych badań nad dziejami kultury, nad historią ludzkich światopoglądów. Propozycja, zawierająca dyrektywę: nie da się adekwatnie i w pełni integralnie zanalizować światopoglądów wyrażonych w twórczości literackiej, historiograficznej, filozoficznej i wszelkiej innej, bez wniknięcia w mechanikę jej samej, bez zagłębienia się w poetykę właściwej formy; historyczne spojrzenie winno więc być jednocześnie spojrzeniem historyczno-literackim. Tak przynajmniej rozumiem istotę tej jakże pasjonującej bachtinowskiej polemiki, którą można też zapewne pojąć inaczej. Odkładam dzieło M. Bachtina na półkę z przekonaniem, że nieraz jeszcze do niego powrócę; stawiam je obok książki L. Febvre'a, której jednak nikt dotąd nie przetłumaczył na polski. Może się tego kiedyś doczekamy.

LEKTOR

JAN CZARNY

OPOWIADANIA FANTASTYCZNE

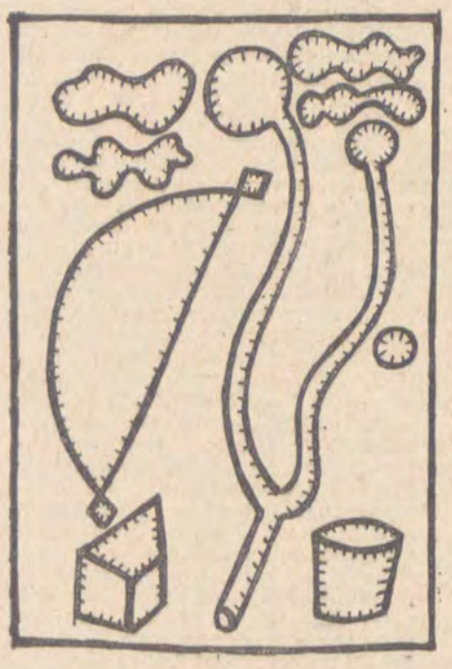

TRZY PYTANIA

To coś nie wiem czym było. Ale zapewne było bardzo precyzyjnym aparatem lub stworem niewiadomego pochodzenia. **Ppss... t... stes...** Takie mniej więcej dźwięki usłyszałem, ale przyznam się teraz, że zdałem sobie z tego sprawę daleko później, kiedy już wiedziałem, o co chodzi. Ale jeszcze byłem oszołomiony. Jeszcze miałem przed oczami otwór, wycięty w suficie okrąg, który się momentalnie zasklepił, kiedy lustro spadło na dywan. Wtedy właśnie powiedziałem: proszę? — nie utożsamiając lustra z niczym, nazywając je w swoich myślach prowizorycznie, tymczasowo — lustrem. Było to coś w rodzaju błyszczącej tuby lub wachlarza. Giętkiej i elastycznej jak tkanka biologiczna, ale błyszczącej metalicznie jak lustro. Przypominało to duże ucho. A właściwie coś między uchem i okiem. Przyczepione to było do korpusu (zbiorniczka czy też silniczka). Powiedziałem więc: proszę? Chcąc raczej zyskać na czasie i zatrzeć pierwsze oszałamiające wrażenie. Chciałem odzyskać przytomność umysłu a nie uzyskać odpowiedź na moje pytanie. I zaraz, niespodziewanie dla samego siebie, usłyszałem: **po co tu jesteś?** Było to, domyślałem się tego, pierwotne, bełkotliwe pytanie, tym razem sformułowane na nowo, już wyraźnie. Zacząłem intensywnie myśleć: co to takiego? Uczony kawał, czy kawał uczonych? A może wypadek? Jakiś aparat, względnie jego część, przeznaczona do innych celów, oderwała się od jakiejś większej aparatury i wpadła do mojego pokoju, przestraszywszy mnie, siedzącego przy biurku. Tak, ale sufit dziwnie się jakoś otworzył, równo, okrąglutko i momentalnie się zasklepił. Siły nadprzyrodzone? Bzdura. Chociaż... Technika na usługach metafizyki? Jakaś pozaziemska cywilizacja... Te wszystkie myśli trwały tylko ułamek sekundy. PO CO TU JESTEM? — powtórzyłem w myślach pytanie zadane mi przez tajemniczy stwór, szukając bezradnie odpowiedzi. Gdybym powiedział: siedzę przy biurku i piszę na maszynie, przepisuję opowiadanie, które napisałem tydzień temu i, notabene, nie wiem nawet, czy jest dobre, to chyba nie byłoby zbyt mądre. Przecież testowanie (te pytania były na pewno testem) ma zapewne na celu sprawy większe, poważniejsze. Chciałem odpowiedzieć po prostu: Ba, żebym to wiedział!! lub też: chciałbym też wiedzieć, po co tu jestem!! Ale przyznam, że bałem się żartować, bo nie wiedziałem z kim mam do czynienia. Kogo to metaliczne ucho (małża?) reprezentuje. I czy to coś (istota, instytucja, idea, siła, mózg), które tu przysłało je, posiada poczucie humoru. Kiedy tak myślałem, usłyszałem znów ten sam głos, tym razem głośniejszy już i wyraźniejszy, jakby pod wpływem korekty: **proszę o odpowiedź.** Lejkowaty stwór, podobny do małego gramofonu, skierował w moją stronę metaliczną małżowinę i zatrzymał się, jak gdyby nasłuchując, czekając na odpowiedź. Musiałem więc szybko odpowiedzieć. Tego wymagała grzeczność, a raczej szacunek przed niewiadomym. A zresztą może powodował mną strach. Albo może coś w rodzaju sugestii (potem dopiero zdałem sobie z tego sprawę). Powiedziałem więc, powoli i wyraźnie artykułując każde słowo: Żyję, po prostu żyję. Wtedy znów usłyszałem: **Co nazywa pan życiem? Co to jest życie?** I zaraz potem: **Proszę odpowiedzieć na drugie pytanie.** Przyznam się, że pot wystąpił mi na czoło. Nigdy nie myślałem o tym. Ta jakaś inna, wysoka cywilizacja potrafi przysyłać tu, na Ziemię swoich przedstawicieli, ale tak samo jak i my, Ziemianie, nie potrafili odpowiedzieć na podstawowe pytania dotyczące bytu. Tak myślałem panicznie, ale zdaje się, że tak samo byłbym zaskoczony, gdyby mnie o to zapytało jakieś ciekawe dziecko na ulicy lub uczeń w szkole. Chodziło przecież, już zdałem sobie z tego sprawę, o jakąś odpowiedź zasadniczą, prostą. Prawdziwą, niekonwencjonalną. Wysiliłem myśli. Jem, oddycham, powiedziałem, myślę, czuję. Spalam się. Wtedy usłyszałem: **zadaję trzecie pytanie, i ostatnie. Proszę się dobrze zastanowić.** Jeśli chodzi o technikę zadawania pytań, aparat, jak widać, rozkręcił się na całego. Pomyślałem nie bez zadowolenia, że moje odpowiedzi były trafne, bo nie usłyszałem żadnych pytań dodatkowych, proszących o uzupełnienie moich wypowiedzi. Wtedy usłyszałem trzecie pytanie, które miało być ostatnim: **pan żyje i pan umiera** (trochę to infantylnie sformułowane). **Co się z panem dalej dzieje?** Zamarłem. Przecież nie wiem. Tego przecież nikt nie wie. To śmieszne żądać ode mnie, żebym w ciągu sekundy udzielił odpowiedzi na pytania, na które nie odpowiedzieli najwybitniejsi uczeni i filozofowie na przestrzeni wieków istnienia ludzkości. Już miałem odpowiedź na końcu języka. Chciałem palnąć: diabli wiedzą, co jest dalej. Ale bałem się związków merytorycznych ze słowem diabli, które się kojarzy z pojęciem piekła, to zaś z życiem pozagrobowym. Chciałem odpowiedzieć możliwie zgodnie z moimi pojęciami o życiu, mniej lub więcej trafnymi, i nie chciałem tego stworu (czy też aparatu) wprowadzać w błąd. Zdawało mi się, że dotąd byłem logiczny i lojalny. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Różne są na ten temat wierzenia, powiedziałem, domysły. Wiele z nich dzieli człowieka (bo mówię jako człowiek o ludziach) na ciało i duszę. Mówią, że dusza jest nieśmiertelna, ciało zaś zamienia się w proch. Ale ja nie wiem, przepraszam szanowną maszynę, ale ja naprawdę nie wiem, a nie chcę kogoś (czy czegoś) wprowadzać w błąd. Ginie, przestaje istnieć kształt człowieka, jego fizyczna struktura, ciało. Istnieje zaś dalej w sensie chemicznym, materialnym, przechodząc, oczywiście, odpowiednie zmiany, rozpadając się na cząsteczki elementarne. Czy tak samo jest z duszą (z myślami, ideami, uczuciami, wolą) i czy ona po śmierci istnieje w jakiejkolwiek postaci, tego niestety nie wiem. Powiedziałem to i zdaje się, że zemdlałem. Albo z wrażenia, albo też z woli tego stworu (mechanicznego, biologicznego, czy też mechaniczno-biologicznego). Nie wiem. Usłyszałem ten sam dźwięk, jaki towarzyszył wtargnięciu metalicznej małżowiny do mojego pokoju i momentalnie otworzyłem oczy. Do dziś nie wiem czy się naprawdę zdarzyło, wszystko to, co tu opisałem, czy też było to marzenie (widzenie) senne, które mi się przyśniło, kiedy zmęczony pracą zdrzemnąłem się siedząc przy biurku przed maszyną do pisania.

1973

NA TRAPEZIE

Już nie pamiętał czy wystrzelono go w przestrzeń, jak słynnego barona Münchausena, z ogromnej katapulty, czy wypadł podczas podróży kosmicznej z szybującego statku, czy też był kiedyś artystą cyrkowym, akrobatą i tak został na poprzeczce trapezu zawieszony na jednej nodze, pod pułapem ogromnego namiotu. Czuł wyraźnie pod kolanem gładkie i twarde drewno poprzeczki. Ale nawet go nie uwierało. Było mu z tym dobrze. Cyrk zwinął już dawno swoje namioty. Odjechały wozy z artystami i ze zwierzętami (przy cyrku był zwierzyniec), i odjechała jego fertyczna partnerka Lolita. Wisiał więc teraz w powietrzu. A właściwie to nawet nie wisiał, tylko tkwił w powietrzu. Jakby było ciałem stałym lub gęstą zawiesiną. Nie było nawet masztów, na których zawieszony był trapez, bo je rozmontowano i zabrano razem z namiotem. Prawdę mówiąc nie był nawet pewien czy istniała poprzeczka na której wsiał, mimo że go lekko uwierała pod kolanem. Po prostu tkwił (to trafne określenie) w powietrzu, w przestrzeni, w niewiadomej czasoprzestrzeni od dłuższego już czasu i nie mógł sobie przypomnieć jak to się stało. Tkwił wrysowany w przestrzeń jak inicjał, jak herb nad triumfalną bramą. Zawieszony na tle nieba jak uciety kwiat rosnący na przekór swojej śmierci. W jakimś masochistycznym samozaparciu przekonany był, że ta pozycja jest dla niego dogodna. Kiedy zasypiał w tej niewygodnej pozycji (bo pozycję taką mimo wszystko trudno nazwać wygodną) wracało do niego przeczucie jakiejś innej rzeczywistości, która mogła być przedtem lub potem. Było to coś w rodzaju głęboko zakopanego archetypu, świadomości zapisanej w podkorzu mózgowym albo nawet coś w rodzaju pamięci biologicznej utrwalonej w mięśniach lub też w komórkach ścięgien. Odnosił wrażenie, że zatracił się tylko na moment, który trwał jednak całą wieczność. Nie wiedział, kiedy to spostrzegł i nie wiedział już, co było snem, a co rzeczywistością. Czy stan jego obecny jest rzeczywistością, czy też rzeczywistością jest przeszłość i przyszłość, które śnił. Widział siebie jako czworonoga na gałęzi w lesie. Zdawał sobie z tego sprawę, że nie może go jako człowieka napełniać trwogą sytuacja, która kiedyś była jego stanem naturalnym, jego pozycją wyjściową i przez długie wieki kształtowała jego obecny stosunek do świata. Ale jednocześnie odczuwał wyraźnie, że jego wyjątkowa pozycja daje mu niezależność. Nie była to wprawdzie niezależność ruchów w przestrzeni, ale była to niezależność filozoficzna, a więc tym samym wolność. Mógł wprawdzie poruszać zaledwie palcami, jego położenie nie pozwalało mu na inne ruchy, ale powtarzał sobie w kółko: jestem wolny, jestem wolny. Mogę robić, co chcę. Mogę ruszać palcami, mogę nie ruszać. Przecież istnienie takiej alternatywy warunkuje wolność. Ale nawet gdybym nie miał wyboru, czy nie byłbym wolny? Przecież moja wolność dotyczy zupełnie innych dziedzin niż te, które zwykle o niej stanowią i właśnie dlatego jestem wolny. Bo czyż wolnością można nazywać wolność mierzoną specjalnie do tego celu stworzoną menzurką, od zera w górę i od zera w dół? Nie. Na pewno nie. Tworzenie tego rodzaju miary, choćby tylko we własnej świadomości, już jest zaprzeczeniem wolności, a więc niewolą. Takie i inne rozmyślania zajmowały mu większość wolnego czasu. Mógłby powiedzieć za mędrcem: myślę, więc jestem. Ale ponieważ jego pozycja pozbawiała go empirycznej możności konfrontowania myśli, odczuwał sens tego powiedzenia lepiej niż jego twórca. Przecież jego byt polegał tylko na myśleniu. Na uświadamianiu sobie świadomości. Myślenie to, wytrącone z behawiorystycznej racji, zawieszone między trzema doświadczeniami: przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, zmieszane ze snem na jawie, było myśleniem doprawdy czystym. Pozaziemska wyjątkowość jego sytuacji napełniała go siłą i nadzieją. Pełną świadomością, że tylko on jeden i nikt inny znajduje się w tej naprawdę wyjątkowej sytuacji. Gdyby wiedział, że takich jak on jest więcej, że jest częścią jakiejś konstelacji złożonej z zawieszonych w powietrzu ludzi, czułby się nieszczęśliwy. Gdyby wiedział, że jest Księżycem lub Ziemią tego swoistego systemu planetarnego, byłby przygnębiony, przybity, skazany. Byt jego straciłby na atrakcyjności, przestałby być permanentnym oczekiwaniem na coś, co miało nastać (chociażby to była śmierć), oczekiwaniem na niewiadome. Przestałby być tym jedynym interesującym filmem, jakim był, stałby się nędzną, banalną wegetacją, powolnym obumieraniem, gniciem w powietrzu, więdnięciem i usychaniem bez końca. Czuł się zatem szczęśliwy. Stałość bytu, stabilizacja, odsunięcie na bok obawy przed zmianami, brak ruchu, przecież zawsze dają złudzenie szczęścia. Nawet nieszczęścia przyswojone, obłaskawione dają wrażenie bezpieczeństwa i szczęśliwości. Ale wszystko co dobre ma swój koniec. Tak było i tym razem. Pewnego dnia nad ranem, kiedy się obudził z krótkiej drzemki... Jego bytowanie nie stwarzało konieczności dzielenia życia na dzień i noc. Pory dnia były raczej stanami jego ducha. A więc pewnego dnia nad ranem, kiedy się obudził z krótkiej drzemki, zobaczył w perłowej mgle poranka, naprzeciw siebie, zarys zawieszonego w powietrzu trapezu. A na nim, jak mu się zdawało, podobną do niego osobę zaczepioną nogami na poprzeczce trapezu. Z początku zdziwił się, ale po jakimś czasie pomyślał, że to może być zjawisko fluorescencji lub dyfuzji występujące w pewnych okolicznościach, w pewnych sytuacjach atmosferycznych. Mogło to się stać po prostu za przyczyną mgły i słońca. Załamywanie się promieni i ich odbicie mogło stworzyć projekcję jego postaci na obłoku mgły. Więc osobnik zawieszony naprzeciw niego mógł być po prostu nim samym. Mogło to być złudzenie optyczne powstałe wskutek długotrwałej i niedogodnej pozycji głową w dół. Mógł to być wreszcie miraż zrodzony w jego ośrodku mózgowo-nerwowym, coś w rodzaju fatamorgany. Bo czyż nie był sam pośrodku monotonnej pustyni przestrzennej? Ale nagle wydało mu się, że zawieszona na trapezie naprzeciw niego postać wykonuje jakieś ruchy, których on nie wykonuje. Uniósł jedną rękę, aby się przekonać czy jego sobowtór wykona ten sam ruch, i wtedy stwierdził, że to nie był jego sobowtór. Ciemisie. Srebrne, cyzelowane, nakręcane przy pomocy specjalnego kluczyka. Wszystkie one pochodzą ze starych, znanych firm, cieszących się dobrą sławą i dobrą renomą. Jest tu słynny **patek.** Proszę, niech pan przyłoży ucho do koperty. Słyszy pan, jaki ma piękny, metaliczny chód. Jak dzwon. Tu, ma pan **cymy, longiny, tissoty.** A tutaj pierwsze, stalowe **pobiedy,** jeszcze z pierwszych czasów po rewolucji. Nie gorsze od tych dzisiejszych **polotów** z automatycznym napędem. A tutaj są moje słoneczniki, powiedział wskazując na rząd dużych, ściennych zegarów, na wysokich, grubych łodygach. Też tak jak słoneczniki obracają się ze słońcem. Drogi panie, powiedziałem, a raczej chciałem powiedzieć, oglądając, już na końcu grządek, chwasty pstrokatej, zegarowej tandety z kolorowymi cyferblatami i westernowymi rysunkami. Drogi panie, jestem zdumiony i zaskoczony, bo pierwszy raz w życiu... Tak chciałem powiedzieć, ale ugryzłem się w język i nic nie powiedziałem, wyczuwając w tym wszystkim perfidny podstęp. Zamiar wystrychnięcia mnie na dudka. Chęć zrobienia ze mnie balona. Żądzę ujrzenia mojego zdumienia i zabawienia się moim kosztem. Proszę pana, powiedziałem zamiast tego (spojrzawszy na zegarek), niestety bardzo mi się spieszy... To powiedziawszy, puściłem się pędem ścieżką w kierunku mojego trabanta.

MIGOCĄ W SŁOŃCU CZERWONE SEKUNDNIKI

Przepraszam pana, powiedział, i lekko ujął mnie pod ramię, gdzie tu jest ulica Daleka? Całkiem blisko, odpowiedziałem, wskazując palcem kierunek. A według mnie, tutaj, powiedział i przeciął ciemność w przeciwnym kierunku. Nie, proszę pana, zaprotestowałem, nie tutaj, ale tu. I znów pokazałem właściwy kierunek, wymieniając jednocześnie trzy ulice dzielące nas od Dalekiej. Zawahał się. Widać, że zaczął mi ufać, a sobie jednak nie dowierzać. Wie pan, powiedział, trochę za dużo wypiłem. A w moim wieku nie wolno, skleroza. Postanowiłem odprowadzić go kawałek w kierunku jego ulicy. No jak, spytałem po chwili, teraz już pan trafi? Tu jest kawiarnia, dalej bank rolniczy, tam, gdzie te światła, szpital. A potem pańska ulica. Podziękował i spytał, która godzina. Dochodziła pierwsza w nocy. Spojrzał na mój zegarek i lekko się uśmiechnął. Atlantik? tak, atlantik, potwierdziłem. Niech pan kiedyś zajrzy do mnie, powiedział jeszcze na pożegnanie. Mieszkam na samym końcu Dalekiej. Tam już jest jak na wsi. Jestem rencistą, hoduję pszczoły. Skosztuje pan miodku, a przy okazji obejrzy pan mój ogródek. Znowu się uśmiechnął. Po jakimś czasie, przejeżdżając Daleką (był straszny upał, umierałem z pragnienia), postanowiłem zatrzymać swojego trabanta i wpaść na chwilę do mojego nocnego znajomego, żeby skosztować miodku i odsapnąć. Zaparkowałem samochód i pchnąwszy furtkę poszedłem w kierunku domku z gankiem. Już po kilku krokach natknąłem się na mojego staruszka. Grzebał coś pochylony wśród grządek. Gdy mnie zobaczył zaraz mnie poznał i bardzo się ucieszył. Zaprosił mnie na werandę, gdzie panował przyjemny chłodek. Po chwili na stole znalazł się dzban miodu, wiejski chleb, świeże masło, ser i owoce. Kiedy już odpocząłem, powiedział, a teraz zgodnie z obietnicą (psiakość, pamięta, mimo że był pijany), pokażę panu mój ogródek. Zeszliśmy po schodkach na ścieżkę. Gospodarz szedł przodem między krzewami jaśminu. Pasieki nie pokażę panu, rzekł obracając do mnie głowę, pszczoły to ciekawe i mądre owady, ale na pewno niejedno czytał pan na ten temat. Pokażę panu za to coś znacznie ciekawszego — mój ogródek. I znowu uśmiechnął się tym swoim dziwnym uśmiechem, który zawsze się pojawiał, kiedy mówił o tym swoim ogródku. Kiedy uszliśmy niewielki kawałek drogi i zbliżyliśmy się do tylnej ściany domu, usłyszałem dziwny szmer. Jakby grały tysiące świerszczy, pocierając skrzydełkami o boki tułowia. Dopiero po dokładniejszym wsłuchaniu się, zauważyłem, że dźwięk ten jest jednak bardziej oschły, metaliczny i trochę jakby groźny. Dziwne, pomyślałem, co to może być? Podeszliśmy do gęstego żywopłotu z ciemnozielonej tui. Buchał od niego żywiczny, odurzający zapach. Staruszek rozgarnął dłońmi gałęzie i odsłonił ukryte w głębi, zarośnięte miejsce. Innemu bym tego nie pokazał, powiedział wolno. Po pierwsze nikt nie uwierzyłby mi, po drugie, po co? Panu to co innego. Pan zrobił mi wtedy wielką przysługę. Pomógł mi pan. Bez pana nie trafiłbym do domu. Człowiek stary, rozumie pan, ale głupi. Weszliśmy na dość szeroką, równą ścieżkę. To co zobaczyłem po jej obu stronach, nie da się wprost opisać. Teraz dopiero zrozumiałem czym były dochodzące z dala dźwięki. Były po prostu tykaniem wielu zegarków. Ogródek bowiem, który pragnął mi pokazać mój znajomy, był niczym innym jak niewielką hodowlą zegarków. Choć to niewiarygodne, rosły one wzdłuż grządek na ośniedziałych, miedzianych łodygach. Różnorodne, rozmaitej wielkości, tańsze i droższe, w różnych kolorach, różnie tykające, i właśnie to tykanie łączyło się w jedną, przedziwną melodię, którą początkowo wziąłem za muzykowanie świerszczy. Na twarzy mojego znajomego pojawił się ten sam dziwny uśmiech. Dopiero teraz go zrozumiałem. Proszę pana, niech pan się tak nie dziwi, powiedział do mnie hodowca zegarków, kiedy trochę ochłonąłem. Nie takie rzeczy są możliwe na tym bożym świecie. Proszę, ma pan tu te swoje atlantiki. Widzi pan, cały zagon, z czarnymi cyferblatami.

Staruszek wyjął z kieszeni flanelową szmatkę. Zaraz pan zobaczy, tylko zetrę oliwę. Proszę, nowiutkie jak ze sklepu. A tutaj te same z białymi tarczami i rzymskimi cyframi. Jak pięknie migoczą w słońcu czerwone sekundniki! Tu, po tej stronie ścieżki, rosną zegarki szwajcarskie, a tam francuskie. Dalej amerykańskie i rosyjskie. Tu, na tych niskich grządkach, stare cebule. Takich już się dziś nie nosi, ale można jeszcze zobaczyć je w ko-

Daleko pod kopułą, jak w tunelu, rozległy się głuche brawa widowni. Orkiestra, jak zwykle w tym miejscu, zagrała walczyka.

EWA OSTROWSKA

ALERT W SPRAWIE PRACY

Foto: W. Parys

„... Prace społeczno-użyteczne spełniają ogromną rolę w kształtowaniu właściwych postaw ideowych. Kształtują postawy społecznego zaangażowania, wpajają szacunek dla ludzi pracy, uczą obowiązkowości i odpowiedzialności za wykonanie zadań, zapoznają z zakładami pracy rodziców, przygotowują do przyszłego zawodu, przynoszą wymierne efekty ekonomiczne..."

Takie są założenia teoretyczne, baza ideowa dla wielkiego frontu prac społecznych podejmowanych przez szkoły.

Moje pokolenie wychowało się też na podobnych założeniach. Uczestniczyliśmy w najrozmaitszych czynach społecznych. Kopałam teren przed szkołą, sadziłam drzewka, zbierałam kartofle w pegeerze. Smakowała nam, wychuchanym panienkom z tzw. „dobrej" żeńskiej szkoły, rzadka zupka pegeerowska. Długo bolały kark, ramiona i plecy po całodziennym zbieraniu kartofli, pozostawiając refleksję także dla nas wtedy szokującą: ależ to ciężka praca. Utrwalał się w naszej świadomości i w naszych postawach dzięki własnemu wysiłkowi, dzięki tym połamanym kościom i bolącym mięśniom — szacunek: do pracy i do ludzi, którzy z tą pracą są na co dzień. I pozostawała satysfakcja z dobrze wykonanego zadania, podjętego z własnej inicjatywy.

To już cecha ludzi młodych — nie lubią, kiedy im się coś, nawet słusznie, narzuca. Teraz, po latach, wiem, ileż takich inicjatyw, uważanych za własne, podpowiedziano nam. Były jednak i takie, które wynikały z własnej potrzeby działania.

Czy praca społeczna musi być koniecznie aktem dobrowolnym? Nie musi. Ale ujęcie jej w niemalże przepisy prawne jest założeniem fałszywym. Nie może przynieść oczekiwanych ideowych wyników. We współczesnej szkole uczeń musi — i to jest to słowo nie do zastąpienia, brzmi jak imperatyw, bo nim zresztą jest — wypracować społecznie w ciągu roku szkolnego tyle godzin, ile ma godzin lekcyjnych w tygodniu, przemnożonych przez dwa. Na przykład uczeń piątej klasy musi przepracować społecznie pięćdziesiąt sześć godzin. Uczeń klasy ósmej — sześćdziesiąt sześć godzin w roku. To nie jest dużo. Ale nie o to chodzi. Uczeń wie, że musi. Musi, ponieważ z góry ma zapowiedziane: tyle, a tyle. Jeżeli mniej — źle, ponieważ praca społeczna decyduje o ocenie ze sprawowania. Jak nie wykona limitu pracy społecznej, nie zasłuży na stopień wyróżniający.

BYŁOBY LEPIEJ...

Byłoby lepiej, gdyby uczeń nie wiedział, że musi. Gdyby jego praca społeczna wynikała z własnej, szczerej — choćby podpowiedzianej czy zaaranżowanej — chęci. Ten sam ośmioklasista, zamiast wypracowywać z niechęcią swój roczny przydział pracy społecznej, jakże często przekroczyłby go i zamiast sześćdziesięciu sześciu godzin przepracowałby spontanicznie, z pełną satysfakcją — sto godzin. Ścisły limit prac społecznych pozbawia go satysfakcji. A tylko wówczas — tak myślę — gdy praca społeczna daje mu satysfakcję, wpływa na kształtowanie postawy ideowej, społecznego zaangażowania. Nie o efekty ekonomiczne przecież tu chodzi.

Zdarza się, że miast skutków wychowawczych praca społeczna przynosi skutki wręcz przeciwne. Uczy jak się wykpić, jak nie być „frajerem", jak odwalać „lipę". Na przykład szkoła nie mogła „zabezpieczyć frontu prac", a uczeń musi wykazać się odpowiednią ilością przepracowanych społecznie godzin. Więc — lipne zaświadczenie o lipnej pracy załatwia mu mamusia czy tatuś. Wynika to z całkowitego braku odpowiedzialności tatusia czy mamusi, ale z drugiej strony wynika to z imperatywu: musi przepracować, bo inaczej nie zasłuży na ocenę wyróżniającą. A mamusia chce, aby jej syn otrzymał ocenę wyróżniającą, zwłaszcza jeżeli syn jest maturzystą.

Znam wypadki, że w ramach prac społecznych uczeń liceum... podlewał niesłychanie długo i wnikliwie kwiatki w pracowni biologicznej, a potem, obliczając „przepracowane społecznie godziny", konał ze śmiechu.

NIEZNANY ADRESAT

Zapewnić właściwy front prac społecznych, to obowiązek każdej szkoły. Przeważnie szkoły ten front zapewniają przy wielkim nakładzie trudów nauczycieli, dyrektorów. Jeżeli szkoła podstawowa liczy sześćset uczniów, to w sumie, ile uczniowie tej szkoły muszą w roku przepracować społecznie? Wychodzi z tego wielka liczba. Szkoła musi ją zamienić w konkretną pracę, efektywne działanie. To jest wielki wysiłek. Ale nauczyciele nie boją się tego wysiłku.

Zorganizować prace społeczne dla klas najmłodszych jest stosunkowo łatwo: są to prace porządkowe, działanie na rzecz własnej klasy czy szkoły. Maluchy wkładają w tę pracę całe serce i wszystkie umiejętności. Są w Łodzi szkoły jak cacka, wychuchane, wydmuchane. A to wszystko jest dziełem młodzieży. Są szkoły otoczone przepięknymi zieleńcami, ogrodami kwiatowymi w miniaturze — to również praca młodzieży. Ale szkoła musi wyjść na zewnątrz. Jest zbyt małym terenem, aby całej młodzieży stworzyć możliwość pracy społecznej. I nie tylko dlatego. Z pracy w fabryce, na terenie budowy uczeń ma wyciągnąć wnioski do kształtowania swoich ideowych postaw.

Jest park, są w parku aleje, porządek w poszczególnych alejach mają utrzymywać poszczególne szkoły. Każda ma własną, pod swoim patronatem. Jest właśnie jesień, wieje silny wiatr, ale jest to dzień wyznaczony na „pracę społeczną" w parku. Szkoła idzie pracować. Najpierw okazuje się, że patronacka aleja jest już zajęta przez inną szkołę, gdyż aleję patronacką tamtej szkoły zajęła jeszcze inna szkoła, bo tak organizatorzy rozdzielili stanowiska i nie ma dyskusji. Wieje wiatr, a polecenie brzmi: zgarniać liście. Więc młodzież zgrabia liście, ale wiatr wieje silny, i liście, jak to liście — fruwają. Po kilku godzinach pracy nie ma żadnego efektu. Bo go i być nie mogło. Ale wszyscy są zadowoleni. Młodzież, bo „zaliczyła" pracę społeczną. Organizatorzy, bo kooperowali ze szkołą.

Telefon do szkoły od ważnego urzędnika. Natychmiast wysłać uczniów klas starszych „na bloki" do sprzątania klatek. Dyskusji nie ma. Że takie „spontaniczne" polecenie dezorganizuje tok pracy szkoły — nieważne. Szkoła wykonuje polecenie. Zbiera starszą młodzież, która udaje się „na bloki". Praca na pewno pożyteczna, wychowująca: oto oddaje się bloki mieszkalne, tak potrzebne ludziom. Ale...

„Na blokach", w klatce schodowej leży robotnik budowlany spity jak bela.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Powyżej opisane wypadki: — ten z parku i ten z bloków zdarzyły się już w bieżącym roku szkolnym. A więc zdarzyły się wypadki, kiedy program prac społecznych nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Nie są to jednak przykłady odosobnione, sporadyczne. Z niejednych ust słyszałam, że fabryki bronią się jak mogą przed pracami społecznymi młodzieży i traktują to jako zło konieczne. Oczywiście, nie wszystkie.

W Kuratorium zdają sobie sprawę, że dotąd prace społeczne były organizowane często na zasadzie przypadku lub żywiołu. Aby wszelki przypadek i żywioł wykluczyć raz na zawsze, Kuratorium wzięło na siebie trud potężny: opracowanie programu frontu prac. I opracowało ten program. Do wszystkich naczelników gmin i dzielnic poszły prośby o efektywną i rzeczową pomoc. Program powstał w trosce o dobro wspólne: młodzież, którą przecież nie tylko szkoła powinna kształtować na młodzież zaangażowaną. Program zakłada, że praca młodzieży przyniesie rzeczywiste i wymierne efekty ekonomiczne. Nam wszystkim. Zakładom pracy, mieszkańcom osiedli starych i nowo budujących się, rolnikom, pegeerom...

Ale, aby ten program był realizowany zgodnie z jego wychowawczymi założeniami, ludzi musi cechować szczególna odpowiedzialność. Tej odpowiedzialności nie miał urzędnik „odpowiedzialny" z ramienia dyrekcji parku. On „zapewnił" na swoim odcinku „front". Młodzież grabiła liście? Grabiła! Dane do sprawozdania będą? Będą! No, więc o cóż chodzi? Urzędnik nakazujący pracę społeczną na terenie nowo wybudowanych bloków też swoje „wykonał". Polecił? Polecił! Praca była? Była! O co więc chodzi?

Chodzi o to, że brak społecznej odpowiedzialności, odfajkowywanie, to jest to, co potocznie nazywa się „lipą". Chodzi o to, że nie powinien się zdarzyć ani jeden incydent z cyklu, jak powyższe. Chodzi mi o to, że praca społeczna młodzieży, jeżeli ma spełniać postawione cele: kształtować postawy społecznego zaangażowania, wpajać szacunek dla ludzi pracy, uczyć obowiązkowości i odpowiedzialności za wykonywane zadania, a wreszcie — przynosić wymierne efekty ekonomiczne, musi być potraktowana ze społeczną odpowiedzialnością. Społeczna odpowiedzialność nie jest bezkształtną magmą, z której nie można by się było wyliczyć. Dlatego postuluję: rozłożyć ciężar odpowiedzialności na wszystkich partnerów. W każdym zakładzie pracy, każdym pegeerze, w każdej instytucji działa organizacja partyjna. Tam właśnie, w organizacjach partyjnych szkoła powinna poszukać pomocy.

Ponad pięć milionów godzin w roku bieżącym ma przepracować młodzież. Liczba, którą powinniśmy wszyscy uszanować. Niech stanie się efektywna nie tylko ekonomicznie.

MAŁGORZATA GOLICKA

JAKIE ŻYCIE — TAKA SZKOŁA

Dyskusja nad przyszłą dziesięciolatką koncentruje się obecnie głównie wokół projektów programów szkolnych, nie oznacza to wcale, że lista tematów do rozważań automatycznie się zawęziła. Wprost przeciwnie, im bardziej zaawansowane prace nad reformą, tym więcej problemów, więcej okazji do przemyśleń i wątpliwości.

Sprowokować do takiej dyskusji chciała zapewne na łamach „Odgłosów" Ewa Ostrowska artykułem „Wędrując z teczką po piętrach" który ukazał się jako pierwszy z cyklu „Szkoła i życie" Tylko bowiem świadoma prowokacja skłonić mogła — moim zdaniem — autorkę do posługiwania się tak znacznymi uproszczeniami. Doskonale spełniają to zadanie przytoczone przez autorkę poglądy.

„Tymczasem słyszę opinie — pisze — iż jednolity system wychowania wprowadza się m. in. po to, aby usprawnić przyjmowanie przez szkołę funkcji wychowawczych rodziny. Ponieważ model rodziny się zmienia. Ponieważ rodzina nie jest w stanie odźwignąć swoich do niej przypisanych funkcji wychowawczych. Ponieważ w niedalekiej przyszłości rodzina ma spełniać rolę zaspakajacza elementarnych potrzeb własnego dziecka — zapewnić mu spanie (noclegi), wyżywienie (niepełne, bo obiady w szkole), ubranie".

Autorka jest humanistką i z takimi poglądami się nie zgadza. Ma jednak obawy, czy występując przeciwko nim nie znajduje się w pozycji prześmiesznego pana Don Kichota z Manczy.

Obojętne, w jakim środowisku takie opinie kursują, są z gruntu fałszywe, a na dłuższą metę wręcz niebezpieczne, bo wypaczające założenia polskiego systemu oświaty. Jest to jeszcze jeden dowód na to, iż — ile by się na temat wychowania i nowej dziesięciolatki nie napisało czy powiedziało — nigdy nie będzie za dużo. Jest to jeszcze jeden argument przemawiający za systematycznym kształtowaniem kultury pedagogicznej społeczeństwa. I nigdy chyba nie dojdziemy do takiego momentu, w którym będzie można powiedzieć: dosyć.

Czasami wystarczyłoby może, abyśmy przestali słuchać podszeptów głoszących takie opinie, a zaczęli myśleć kategoriami Polaków i obywateli. Przypomnielibyśmy sobie wówczas bez trudu, iż nigdy jeszcze w historii Rzeczypospolitej Ludowej rodzina nie była otoczona tak wielką opieką partii i państwa jak obecnie. Mam tu na myśli nie tylko udogodnienia i ulgi socjalne, jak bezpłatne urlopy dla młodych matek, kredyty dla małżeństw, ale właśnie podkreślanie owej niezastąpionej, wychowawczej roli rodziny.

Prowadzi się intensywne badania nad rodziną, a każda popularna publikacja z tej dziedziny to murowana pozycja na rynku czytelniczym. Potrzeby są ogromne, a wiedza przeciętnego rodaka o „szczęściu we dwoje" jak i o powinnościach rodzicielskich — bardzo uboga.

Jest jednak sprawą bezsporną, iż zmienił się model rodziny, a swoje funkcje współczesna rodzina realizuje w sposób odmienny niż przed laty. I aby mogła, chciała i potrafiła wprowadzić dziecko w coraz szybciej zmieniający się świat, konieczne jest współdziałanie ze szkołą. Rejestr dziedzin wzajemnej współpracy jest ogromny: od kształtowania zasad moralnych, odpowiedzialności za los członków rodziny czy kolegów, do wyrabiania nawyków samodzielnej, zaangażowanej pracy, aktywności społecznej, patriotyzmu itp. Spójna, zdrowa i kochająca się rodzina stanowi naturalne oparcie dla szkoły, jest jednym z ogniw jednolitego systemu oświaty.

Ów jednolity system wychowania, to drugi — jak sądzę — celowo sprowokowany przez E. Ostrowską temat do dyskusji. Autorka ma tu na myśli głównie system wychowania szkolnego oparty na zasadach tzw. eksperymentu poznańskiego. Trudno jest mi się jednak zgodzić z tak znacznym uproszczeniem. Jednolity system wychowania i nauczania jest pojęciem o wiele szerszym, ściśle związanym z pojęciem społeczeństwa wychowującego. Zgodnie z marksistowską tezą — człowiek wartość najwyższa — jest wytworem całego społeczeństwa. Oddziaływanie wychowawcze i kształcące mają więc nie tylko rodzina i szkoła, ale również pozaszkolne instytucje i organizacje, jak: grupy rówieśnicze, organizacje społeczno-polityczne, środki masowego przekazu, środki i instytucje upowszechniające kulturę, sieć służby zdrowia, milicja, zakłady pracy. Współdziałanie tych „układów" czy instytucji ma doprowadzić do powstania jednolitego frontu wychowania. Tworzenie tego frontu wymaga przezwyciężenia pewnych schematów w myśleniu, przezwyciężenia antynomii między wpływami poszczególnych czynników, świadomej, skoordynowanej działalności.

Najpierw należy uświadomić sobie i innym, jak wiele organizacji i instytucji, nawet w małym osiedlu, współuczestniczy w wychowywaniu. Następnym etapem w tworzeniu jednolitego frontu wychowania jest ustalenie zasad koordynacji. Chodzi tu o wyznawanie tych samych ideałów wychowawczych, zasad postępowania i kryteriów wartości. Wpływ różnych instytucji i organizacji na wychowanie jest ogromny.

„Jednakże — powtórzę tu za prof. Janem Szczepańskim — opinia publiczna, podtrzymywana przez środki masowego przekazu, uważa nadal, że szkoła i nauczyciel nie tylko powinni przygotowywać młodzież do przyszłego uczestnictwa w życiu, ale także wyrównywać, zrównoważać, zniwelować wszystkie inne wpływy i oddziaływania, nawet te najbardziej szkole przeciwstawne".

Skoordynowany, jednolity system oświaty i wychowania, jaki tworzymy obecnie w naszym kraju, powinien zlikwidować te rozbieżności i harmonijnie połączyć funkcjonowanie szkoły z wychowującym społeczeństwem. Zniknąć wówczas powinno typowe dla nas „wytykanie palcami" i przerzucanie odpowiedzialności za wychowanie z rodziny na szkołę, ze szkoły na organizacje, z organizacji na telewizję. Lista „winnych" może być bardzo długa. Tylko — po co? O wiele trudniejsze jest wpajanie poczucia odpowiedzialności za wychowanie wszystkim członkom wychowującego społeczeństwa.

KSIĄŻKA

WESTERN POLSKI

Ukazał się piąty tom reportaży Ryszarda Wójcika. „Czy bohaterowie są zmęczeni?" zapytuje autor tytułem swej książki, a odpowiada relacją o losach Wandy Gościmińskiej, łódzkiej włókniarki, przodownicy pracy; odwiedza w styczniu 1971 roku stocznię gdańską i rozmawia z Aleksandrem Makowskim, słynnym niterem, budowniczym pierwszych po wojnie statków pełnomorskich, z których jeden — nazwany jego imieniem — pływa dotąd na Bałtyku i „nity trzymają mocno"; odnajduje na wsi koło Sztumu, pierwszą traktorzystkę Rzeczypospolitej, Magdalenę Figur, postać z głośnego plakatu... Spotyka w Nowej Hucie człowieka, bohatera wyścigu pracy, murarza któremu w czasie bicia rekordu wrzucono do ręki rozżarzoną cegłę... Dziś Piotr Ożański jest brygadzistą czwartej baterii koksowniczej Huty im. Lenina. Jak potoczyły się jego losy? W jaki sposób udało się w zrujnowanych doszczętnie Zakładach „Ursus" wyprodukować, już w dwa lata po wojnie, pierwszy polski traktor, który wziął udział w warszawskiej defiladzie pierwszomajowej w r. 1947 i tamże... tuż przed trybuną rządową odmówił posłuszeństwa... Jak powstała i co porabiała studencka straż zbrojna Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, w pierwszych miesiącach wskrzeszenia miasta?... Oto niektóre spośród kilkunastu rozdziałów tej fascynującej książki. Plon pięcioletniego trudu dokumentalisty, który wyrzekł się — rzec by można — bakaliowych słodyczy tematu egzotycznego na rzecz polskiego razowca, jakim jest, temat pracy. Podaje nam Wójcik razowiec znakomity, najkunsztowniej wypieczony. Nasycony smaczną pożywką realiów tamtej epoki, doprawiony drożdżami anegdoty, wzbogacony ilustracją fotograficzną, która organicznie „wrasta" w miąższ narracji, stając się nieoddzielną jej częścią.

Pod piórem reportera powstaje swoisty, niepowtarzalny scenopis tamtej epoki, coś jak scenariusz filmowy, ukazujący lata powojenne, czterdzieste i pięćdziesiąte, w wyrazistych, doskonale zobrazowanych scenach. Stara się Wójcik „dopędzić" historię, w wyścigu z historykami, którzy niespiesznym, profesjonalnym okiem ogarną kiedyś ten czas, gdy żywych bohaterów nie stanie... Ileż w tej książce takich dopisków: „Zmarł w r. 1975", „zmarł w r...". To wzmianki o tych, którzy razem z autorem tworzyli ten zapis, razem z reporterem układali mozaikę faktów. Opowiadając swe życiorysy i przygody — wypowiadali epokę... A któż jest ich w stanie zastąpić? Nie zastąpi także dociekliwego reportera zawodowiec — historyk, którego mało zaciekawi zawartość menażki, z której jadał inżynier Perzyk w kamieniołomach pod Strzegomiem, medytując zarazem, jak za pomocą niemieckich min wyłupać z betonu uwięzione w nim młoty i prasy hydrauliczne, wywiezione przez okupanta z Ursusa... Dla historyka te fakty były tylko nie wartą zapisu anegdotą, dla nas — czytelników książki Wójcika — są one realistycznym, wielobarwnym malunkiem tych lat, są pożywką dla naszej wyobraźni, która daremnie oczekuje dzieł literackich i filmowych, w których smak i barwa tamtego czasu... Nazbyt gwałtowny, uproszczony osąd o tamtej epoce domaga się dziś rehabilitacji. Żyją bowiem jeszcze ci, co byli wówczas „ciężkimi frajerami" — i jak Makowski, niter gdański — zamiast pięciuset nitów dziennie wbijali tysiąc i więcej i... dzięki nim właśnie Polska już pod koniec lat czterdziestych wodowała w Gdańsku pierwsze pełnomorskie wielotysięczniki... Dzięki takim jak Magdalena Figur — pierwsza traktorzystka Rzeczypospolitej — Żuławy zostały zaorane o rok, a może o dwa lata wcześniej. To są niewątpliwe fakty. Nie sposób było je przewidzieć, ani zaplanować. A jednak zdarzały się na każdym kroku. I próżno szukać im wytłumaczenia w dyrektywach i nakazach: czyn rodził się z woli i zapału tysięcy entuzjastów i ta wola i zapał poruszała do czynu miliony.

WASYL KOCZNOW

Ryszard Wójcik „Czy bohaterowie są zmęczeni?", KiW, W-wa 1975, cena 40 zł

PLASTYKA

MALARSTWO I GRAFIKA JANA FILIPSKIEGO

JAN FILIPSKI — „Dżokej", olej

W przytulnych salach Dzielnicowego Domu Kultury Bałut przy ul. Limanowskiego 166 czynna jest wystawa prac Jana Filipskiego — członka Klubu Plastyków Amatorów ŁDK. Dorobek artystyczny J. Filipskiego należy do najciekawszych zjawisk pośród nurtu sztuki „nieprofesjonalnej", który w Łodzi skupia niemałą liczbę osób.

Jan Filipski odebrał przygotowanie artystyczne u solidnego mistrza Adama Rychtarskiego w Warszawie, gdzie ukończył Szkołę Sztuk Zdobniczych. Warsztatowa biegłość jest u tego twórcy zaledwie jednym z elementów, które znacznie utrudniają prostą klasyfikację. Prof. Rychtarski nauczył go — jak sam zdradza — „solidnych, monachijskich zasad" malarstwa pejzażowego, umiejętności posługiwania się kolorem i światłocieniem w stopniu właściwym niepoślednim profesjonałom.

Wybiera motywy pozornie łatwe, niemal stereotypowe: widoki gór, zbożowych łanów, wiejskich chałup — lecz za to efekt plenerowych doświadczeń przypomina wielką tradycję realizmu w najlepszym jej wydaniu. Pejzaże Filipskiego noszą wyraźne piętno rozumienia natury, ucieczki od zbyt łatwego jej piękna, ślady rozważnej transformacji zgodnej z osobistym przeżyciem. Malarska wyobraźnia buduje z elementów realnych nowy porządek, naznaczony temperamentem świadomej analizy.

Jan Filipski zdecydowanie nie należy do „artystów dnia siódmego". Obok pejzażu — pokazuje na wystawie obrazy trudne do jednoznacznego określenia: konstruktywistyczne i kubizujące na pozór, a jednocześnie realistycznie proste. Łódź jest środowiskiem o ogromnych tradycjach konstruktywistycznych, do dziś kontynuowanych poprzez poszukiwania artystów podejmujących analityczny sposób obrazowania. Rodowód swoistego kubizmu Filipskiego jest odmienny — wynika z fascynacji możliwością „rozbijania" i „geometryzowania" formy, uważnego rozkładania akcentów. Jest to powierzchowne, lecz — jak sądzę — szlachetne posługiwanie się manierą, która zmusza twórcę do lapidarnej precyzji wypowiadania. Jan Filipski jest długoletnim pracownikiem poligrafii, a więc dyscypliny działalności stojącej na pograniczu sztuki. Łatwo zorientować się, że to codzienny kontakt z zagadnieniami kompozycji i barwy, konieczność niemal instynktownego rozwiązywania problemów druku czytelnego i funkcjonalnego (dla Jana Filipskiego pojęcie to ma sens żywy dzięki bezpośrednim kontaktom ze Strzemińskim — poligrafem) wytworzyły nawyk budowania płaszczyzny obrazu w oparciu o zasady równowagi proporcji i napięć. Nie jest to sztuka dużego formatu — jednak kontakt z nią jest zarazem zetknięciem się z ogromną tradycją tendencji wizualnego konstruowania „oswojoną" niemal na domowy użytek, bliską każdemu widzowi; zwłaszcza temu, do którego jest adresowana — z kręgu przyjaciół Filipskiego.

Podobnie jak konstruktywistyczne obrazy — komponuje swe grafiki o czytelnej, nieskomplikowanej anegdocie.

Filipski nie ukrywa, że uprawianie sztuki jest dla niego zajęciem nieformalnym. Warsztatowa biegłość stawia go w rzędzie twórców, których dzieła nie sposób pominąć. Sam traktuje problemy wartościowania jako najmniej istotne, należy bowiem do artystów, których — by użyć tu słów Ksawerego Piwockiego — „nie niepokoi banalność użytych środków wyrazu, ich taka czy inna proweniencja. Starają się po prostu przelać w dzieło nie zafałszowaną niczym spowiedź ze swych przeżyć, o co właśnie z takim trudem walczą artyści awangardowi".

Inicjatorom wystawy w bałuckim Domu Kultury, a szczególnie Aleksandrowi Łyko, należą się słowa uznania za trafność wyboru artysty nieszablonowego. Wróży to kolejnej, niewielkiej łódzkiej galerii sztuki powodzenie, a co ważniejsze — pewność, że również kolejne propozycje spotkają się z zainteresowaniem.

ANDRZEJ MAJER

TEATR

PIOTR SŁOWIKOWSKI

OKRUCIEŃSTWO W TEMPIE MENUETA

Za plecami brata Ryszarda, przemawiającego w 1429 r. przez dziesięć dni na cmentarzu Innocents w Paryżu, znajdowała się kostnica, gdzie wystawiono na pokaz czaszki. Na otaczających cmentarz galeriach namalowany był Taniec Śmierci. Kazania innego kaznodziei w Nowym Orleanie spowodowały, że dekarz przez 64 dni reperował dachy, na które wspięli się słuchacze. W tym okresie w północnej Flandrii podobną popularnością cieszyły się wystąpienia niejakiego brata Tomasza. Wśród szlachty znaleźli się nawet tacy, którzy opuścili swoje domy, by podążać śladami owego karmelity. Jak się potem okazało — był on oszustem. W kilka dni po śmierci pana Oudart de Bussy, odkopano na rozkaz króla jego głowę, odziano ją w szkarłatną czapkę i wystawiono na widok publiczny, bo coś tam władcy zawinił.

Średniowieczne sądy stosowały albo najbardziej surowy wymiar kary, albo sądzonego ułaskawiano. Publiczne egzekucje dawały tłumom wręcz perwersyjną rozkosz. Ludność miejscowości Mons wykupiła herszta pewnej bandy, by pozwolić sobie na „przyjemność" poćwiartowania go na rynku. Lubowano się w wieszaniu osób niepoczytalnych. Ułomności ludzkie dostarczały dużo zabawy. Jeden z obrazów Velazqueza przedstawia karlice przebywające na dworze hiszpańskim. Ofiarowywano je sobie jako prezenty ślubne, służyły jako błaźnice. Dla księżnej Małgorzaty z Yorku ślusarz dostarczyć musiał dwie żelazne obroże — jedną dla małpki księżnej, drugą dla.. karlicy Belon.

Okrucieństwo owych czasów objawiało się nierzadko w momentach klęsk żywiołowych. I tak na przykład podczas szalejącej epidemii dżumy książęta: burgundzki i orleański, nawołują do założenia „pałacu miłości", otwartego dla wszystkich, w celach rozrywkowych. Jednocześnie nie spsób pominąć najpiękniejszych literackich dowodów, jakie dawali trubadurzy prowansalscy. Roman de la Rose na przykład ukazał miłość najpełniej i najpiękniej. Nie sposób też zapomnieć o idei rycerskości, utkanej z podniosłych uczuć, barwnej fantazji — idei etycznej i estetycznej zarazem (choć może nieco zmitologizowanej przez romantyków).

Johan Huizinga — autor barwnej monografii średniowiecza — charakteryzując społeczeństwo średniowiecznej Europy, ukazuje jego blaski i mroki, wszelkie sprzeczności. **„Gdy świat młodszy był jeszcze o pół tysiąclecia — pisze Huizinga — zewnętrzne formy wszystkich przypadków ludzkiego życia rysowały się o wiele ostrzej niż dzisiaj. Dystans między cierpieniem, między nieszczęściem i szczęściem wydawał się wówczas o wiele większy; wszystkie przeżycia miały wtedy ten stopień żywiołowości i wyłączności, jaki dziś radość i cierpienie osiągają jeszcze tylko w umyśle dziecka".**

I dalej:

„Jest to świat zły, wysoko bucha nad nim płomień nienawiści i gwałtu. Bezprawie jest potężne, szatan okrywa swymi czarnymi skrzydłami posępną ziemię. Ludzkość oczekuje rychłego końca wszystkich rzeczy. Ale ludzie nie nawracają się; na próżno walczy o to Kościół, na próżno rozbrzmiewają skargi i napomnienia kaznodziejów i poetów".

Michel de Ghelderode umieszcza akcję swoich dramatów najczęściej w czasach średniowiecza, gdzieś w „Breugelandii", Flandrii, niekiedy w pałacu Hiszpanii. Dramaturg i poeta XX-wieczny ucieka w świat przeszły. I chyba nie tylko dlatego, że świat ten ukazany jest wspaniale w obrazach Hieronima Boscha, Pietera Breughla, obrazach pełnych fantastyki, wizjonerstwa, grozy. W okresie średniowiecza nie ukrywano namiętności, zła, okrucieństwa pod maską pozorów, a wręcz eksponowano je. Ale Ghelderode nie korzysta z wyidealizowanych przez romantyków wartości. W sposób „krwawy i mięsisty" ukazuje zło.

I tu uwaga. Z pewnością nie jest to okrucieństwo dziedziczone w spadku po markizie de Sade, za którego fascynowaniem zbrodnią, rozkoszą nie stało nic. To zło jest ukazaniem wewnętrznej, ukrywanej części człowieka. Można je odkryć tylko przez okrutne rozcięcie powłoki, „wywrócenie ubrania na drugą stronę", by stworzyć „morał a'rebours, morał na wywrót". Bifrons — błazen odgrywający historię nocy poślubnej z córką innego błazna, Foliala, woła:

„Alboż nie dałem dworowi i całej rozbawionej Hiszpanii wspaniałego widowiska mojego ślubu, tego ślubu szpetoty z pięknością, szaleństwa z mądrością?"

Bifrons opowiada o wydarzeniach z przeszłości, wydarzeniach, jakie miały miejsce na bogatym, zda się, dostojnym dworze u mądrego władcy. Pod skórą, powłoką tego układu, wrzało okrucieństwo prowadzące do tragedii — śmierci córki Foliala i jej zalotnika, garbatego błazna. By ukazać tragizm tamtej sytuacji, trzeba w pełni pokazać sytuację obecną — dziejącą się na scenie. Ale reżyser spektaklu „Szkoły błaznów", Tadeusz Pliszkiewicz, ukazał ją, w moim odczuciu, połowicznie.

W szkole kawalera Foliala kształcą się pokrzywdzone przez los i naturę „monstra". Wykładowca — mistrz Folial — sztukę błaznowania posiadł już dawno Myśli o śmierci w samotności. W strukturze dramatu jest nosicielem pierwiastków intelektualnych, co też uwydatnił Jerzy Przybylski, odtwarzający tę postać. Jego Folial wpada w zadumę, oszczędnymi środkami buduje ową refleksyjność starości, która wśród tajemnic życia skrywa tragedię — śmierć córki. Prawem przeciwieństwa jego uczniowie winni być „szpetni i szaleni". O ile jednak ułomności zaznaczono w kostiumach i charakteryzacji aktorów, o tyle ich zachowanie na sceny poprowadził reżyser w łagodnej tonacji niegroźnego błaznowania. Co prawda tekst nie dał postaciom dramatu powodów do ujawnienia zła. Pozostały jednak inne artystyczne tworzywa, wśród nich szczególnie ruch i działania aktorskie. Niestety, najczęściej ze sceny dociera do nas tekst, i tylko tekst, którego uczniowie potulnie i beznamiętnie słuchają. Rzadko wykorzystano elementy scenografii, a bicz — rekwizyt jakże wymowny — trzaska ot, tak sobie, dla hałasu.

Dzieje się tak szczególnie w trakcie I aktu przedstawienia, a już gdy dochodzi do sceny teatru w teatrze, zachowania błaznów, którym Ghelderode poświęca w didaskaliach wiele miejsca, poprowadzono ją bez przekonania, w tonacji umiarkowanej. Czyżby więc była to „intelektualna szkoła błaznowania"? Jeżeli tak, to szkoda, że nie pokazano drogi od bezmyślności, do świadomości, do intelektu.

Miejsce pośrednie na tej drodze zajmuje Galgiit — opiekun błaznów. Galgiit, knując zamach na Foliala, zbliża się do tajemnicy sztuki — okrucieństwa. On aranżuje spektakl, który ma zabić Foliala. Wie więcej niż uczniowie. Spektakl „przywraca życie" Folialowi, a wtedy okazuje się, że Galgiit wie mniej od mistrza. Wirgiliusz Gryń — grający rolę Galgiita — stara się tak też i tę postać umiejscowić. Skłania się ku mistrzowi w swoim często naiwnym i wulgarnym intelektualizowaniu. O ile pełniej wypadłaby ta rola, gdyby zaistniał drugi punkt odniesienia — rozbudowane i groźne błaznowanie uczniów. Jaskrawsze byłyby te sceny, gdyby Galgiit starał się być mistrzem, a w istocie pozostawałby tylko uczniem. Kontakt między aktorem kreującym postać opiekuna uczniów a uczniami jest w realizacji scenicznej dramatu bardzo istotny. Ograniczenie go nie jest winą zespołu aktorskiego grającego uczniów, ale stonowania i ściszenia dramatu. Przedstawienie brzmi bowiem w miarę pełnym głosem dopiero w scenie ostatniej, kiedy to Folial wypowiada zacytowane już słowa, biczując przestrzeń wokół siebie, biczując samego siebie i deski sceny teatralnej. Jest sam, rozgonił w szale wszystkich. Nikomu nie przekazał tajemnicy. Przypomnieniu jej przysłużyła się scena teatru w teatrze. Folial przejął wtedy „obowiązki" widza. By sprecyzować swoją formułę sztuki, mistrz musiał ulec okrucieństwu tej sceny.

Jan Tesarz, jako Bifrons, w początkowych sekwencjach opowieści o Honorandzie, wyraźnie podkreśla sztuczność gry, jaką narzuca teatr w teatrze. Dysponuje ograniczonym gestem, jakby recytuje wyuczoną rolę. Niestety, takie ustawienie postaci nie służy reakcji Foliala, nie tłumaczy jej. Sądzę, że Bifrons — wykonujący przecież jakąś sztukę — ma prawo stapiać się z „kreowaną postacią", spiętrzać efekt od błaznowania do okrutnego uzewnętrzniania prawdy, zdzierania maski. Wtedy ma rację bytu ekspresywna reakcja Foliala — jego „szaleństwo i pragnienie" powiedzenia sprawy do końca.

Scena „teatru w teatrze" uświadomila Folialowi istotę sztuki. Ten, który przed chwilą był widzem, przekazuje ową tajemnicę widowni faktycznej. Aby jednak przekazać ją, „nazwać po imieniu", Ghelderode stworzył możliwość egzemplifikacji tej tezy przed jej sprecyzowaniem. Musi jednak zaistnieć wcześniej owo okrucieństwo, zanim zostanie nazwane. Dlatego rzecz dzieje się w bujnym i pełnym sprzeczności średniowieczu, po to są na scenie monstra. By jednak zaistniały owe przeciwieństwa, nie można, jak sądzę, skupiać się tylko na warstwie intelektualnej tekstu, nie najlepiej do tego zresztą predysponowanego, a będącego jednym z tworzyw teatru.

Pozostałe środki działania aktorskiego służą inscenizacji dramatu Ghelderode'a na deskach Teatru im. Jaracza, niezdecydowanie, bez przekonania, wstydliwie, jakby nie chciały nic znaczyć. A przecież mogłyby. Mogłyby tworzyć „płomień nienawiści i gwałtu", zbudować „dystans między cierpieniem, nieszczęściem i szczęściem".

Okrzyki i reakcje uciechy uczniów z upadku mistrza przebiegają bardzo łagodnie. Podobnie zaimprowizowana przez Foliala msza żałobna nie stwarza zbyt dokładnego podkładu do przekształcenia jej w szalejącą karuzelę. Zabrakło w owych scenach wyczucia ich muzyczności, gdzie od żałobnej, ale krótkotrwałej ciszy przejść można do scenicznego forte, z którego jest tu tylko jeden szczątkowy element — wywalanie desek w drzwiach przez katafalk. Zbyt piano skonstruowany jest ruch karuzeli błaznów, biczowania, co ujemnie wpłynęło na „wyduszenie z siebie" tajemnicy sztuki. Dramat o okrucieństwie zainscenizowany został jak dworski menuet. A jedynym „okrutnym" efektem miało być trzaskanie drzwiami na początku spektaklu. Niestety, był to tylko efekt, bo dla intelektualnej szkoły błaznów przeznaczone były inne dramaty. Ktoś może takiego teatru nie lubić, to inna sprawa, ale Ghelderode bez rozbebeszania zła staje się ubogi. Bo przecież starał się ujawnić to, co niechętnie nazywamy, niechętnie sobie uświadamiamy, do czego się niechętnie przyznajemy — chciał uświadomić zło w każdej jego postaci. I dlatego potrzebna jest ucieczka w ujawniające je średniowiecze, i dlatego ten teatr powinien być okrutny, a nie refleksyjnie beznamiętny.

Michel de Ghelderode, „Szkoła błaznów". Teatr im. Jaracza w Łodzi. Reżyseria — Tadeusz Pliszkiewicz, scenografia — Elżbieta Iwona Dietrych, muzyka — Jerzy Bauer. Premiera 20 marca 1976 r.

KONRAD FREJDLICH

ATENION zrzuca OKOWY

Bolesław Czerwieński (1851-1888), prekursor sztuki socjalistycznej w Polsce, zapisał się w pamięci potomnych jako autor jedynego właściwie utworu — rewolucyjnej pieśni „Czerwony sztandar", która już po śmierci twórcy stała się bojowym hymnem robotników podczas wydarzeń 1905 roku. Poza historykami literatury, takimi choćby jak Józef Spytkowski, który poświęcił Czerwieńskiemu obszerny szkic, rzadko kto łączy nazwisko autora „Czerwonego sztandaru" z bogatą działalnością poetycką, dramaturgiczną i nowelistyczną. A przecież jest to twórczość ciekawa podwójnie: jako signum temporis pierwocin ruchu robotniczego na ziemiach polskich, który znalazł swój wyraz w naturalistycznych obrazkach poety „wydziedziczonych" oraz jako przejaw młodosocjalistycznej świadomości tej formacji umysłowej, która opuściwszy w ostatniej ćwierci XIX stulecia mury uniwersytetów identyfikowała się z dążeniami rosnącego w siłę proletariatu. Dla tamtego pokolenia postępowych inteligentów zapatrzonych w romantyczną tradycję sztuka, aby osiągnąć swój społeczny sens, musiała posiadać cechy agitacyjne, musiała przekonywać do idei socjalistycznej i werbować nowych zwolenników, musiała wreszcie uprzytamniać klasie wyzyskiwanych jej niekłamaną potęgę.

Czerwiński pisze:

Słuchaj!
Miliony ludzi poczciwych w kajdanach,
A tysiąc łotrów panuje nad nimi.
Tych tysiąc łotrów wbić na krzyż,
a milion
Uczciwych ludzi uwolnić od więzów."

Słowa te padły po raz pierwszy ze sceny lwowskiej 17 grudnia 1881 roku podczas prapremiery „Niewolnika", który zdjęty przez cenzurę doczekał się za życia autora dwóch zaledwie przedstawień.

Cóż raziło w tej sztuce o pierwotnym tytule „Atenion", której akcja rozgrywa się przezornie podczas drugiego powstania niewolników na Sycylii w jakże odległych latach 104-101 p.n.e.?

Ówczesny cenzor trafnie dostrzegł pod klasycznym i romansowym kostiumem niebezpieczeństwo dla burżuazyjnego porządku, gdyż sztuka Czerwieńskiego nawet w tym historycznym przebraniu stanowiła wyzwanie rzucone klasom posiadającym, propagowała ideę wyzwolenia społecznego i zapowiadała nadejście nowych czasów, które znajdą swoją realizację na scenie historii.

Aż dziwne więc, że rękopis „Niewolnika" Czerwieńskiego blisko sto lat przeleżał zapomniany w archiwum Tatru im. Słowackiego w Krakowie i dopiero ostatnio sięgnął do niego Jan Perz podejmując próbę przywrócenia twórczości autora „Czerwonego sztandaru" narodowej scenie, z której najniesłuszniej została zepchnięta Nie chodziło tu tylko o prosty zabieg odkurzenia tej sztuki z pyłu zapomnienia, ale o włączenie jej w krwiobieg postępowych tradycji polskiego teatru, który obok swych wielkich wcieleń romantycznych posiada także, jak się to teraz okazuje, swój nurt par excellence socjalisty.

Realizator postawił więc sobie zadanie niezwykle ambitne. Szło przecież o to, aby przekonać widza, że przypomnienie „Niewolnika" nie jest tylko zwyczajną spłatą długu wobec autora za postępową działalność społeczną Czerwieńskiego, że w jego twórczości tkwią pierwiastki, które bronią się same wytrzymując próbę czasu, a zwłaszcza próbę sceny. W tym też kierunku poszły zabiegi adaptacyjne Jana Perza, który poprzez wprowadzone do oryginału skróty starał się uwypuklić wątki stanowiące właściwy podtekst sztuki, uczytelnić ich polityczną treść. Mimo melodramatycznego zakończenia jest przecież „Niwolnik" przede wszystkim sztuką o władzy i związaną z nią odpowiedzialnością. Takie odczytanie tekstu pozwala nam widzieć w Atenionie (Jerzy Jończyk) proletariusza zdobywającego dopiero swoją klasową świadomość, w Euporusie (Tadeusz Trygubowicz) inteligenta identyfikującego się z dążeniami robotników, w beztroskim i wesołkowatym Hipoktenesie (Remigiusz Rogacki) przedstawiciela warstw średnich, które w każdym systemie społecznym spełniają rolę formacji buforowej. Idąc dalej tym tropem możemy dostrzec w Nerwie (Włodzimierz Tympalski) wyzyskiwacza oświeconego, który wie doskonale, że nadużywanie władzy prowadzi nieuchronnie do niepokojów społecznych w Publiuszu Semproniuszu (Marian Harasimowicz) krwiopijcę i tępaka, który swym zaślepieniem i bezwzględnością sam nieświadomie podkopuje fundamenty istniejącego ładu.

Można, jak już wspomniałem, tak odczytywać „Niwolnika" i do takiej wykładni sztuki zdawał się zmierzać Jan Perz. Ale tekst Czerwieńskiego nie jest wolny od pułapek, bowiem dla działań swych bohaterów przyjmuje autor motywację romansowo-psychologiczną, spychając właściwe motywy do tła, co wynika z konwencji historycznego kostiumu. Przecież Euporus, aby pobudzić Ateniona do działania, musi stworzyć mit jego matki Partenope (Walentyna Sakkilari) okrutnie oślepionej z rozkazu córki Semproniusa, Klaudii (Barbara Dzido-Lelińska). Motyw zemsty osobistej dominuje więc nad ogólnospołecznym znaczeniem buntu niewolników, którym przewodzi Atenion. Rzecz się komplikuje jeszcze bardziej, gdy uzmysłowimy sobie, że Klaudia jest kochanką przywódcy niewolników, co wprowadza dodatkowe zamieszanie w cały zespół motywów, którymi kieruje się Atenion. Działania aktorskie powinny więc zmierzać do tego, aby tę motywację rozjaśnić, choćby nawet kosztem potoczystości narracji, wprowadzeniem odmiennej stylistki. Tak się jednak nie stało, zespół aktorów Teatru Ziemi Łódzkiej dał się pociągnąć niewątpliwej urodzie tekstu Czerwieńskiego odczytując go zbyt dosłownie. Nawet tak interpretowany broni się on dostatecznie i jesteśmy świadkami widowiska prowadzonego w żywym tempie, obfitującego w spięcia, to dla odmiany tryskającego humorem. Szkoda wszakże, że nie otrzymaliśmy Czerwieńskiego z wykładnią współczesną, do czego wprost zachęcała adaptacja Jana Perza.

Bolesław Czerwieński: „Niewolnik", tragedia w trzech aktach; Reżyseria: Jan Perz. Scenografia: Rajmund Strzelecki. Muzyka: Tomasz Kiessewetter. Premiera Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej.

OBYCZAJE

URSZULA SURMACZ

RADIO

Przystałam na tę propozycję. Staruszkowie pokłonili się, zostawili adres. Na drugi dzień w łódzkiej popołudniówce ukazała się krótka notatka. **„Ofiarujemy radio"** zachęcająca wszystkich potrzebujących do zgłaszania się w redakcji. Pielgrzymka chętnych do otrzymania radioodbiornika rozpoczęła się jeszcze tego dnia po południu.

1.

Śmiałe pukanie i pewne otwarcie drzwi i oto pierwszy „potrzebujący" staje przede mną. Ma lat około 35, może 38. Już sam młody wiek i tryskający zdrowiem wygląd mężczyzny wywołuje zdziwienie. Ubrany w tweedowe spodnie, prochowiec, czarne zamszowe półbuty w szpic. Ciemne włosy zaczesane na przód mają zakrywać łysinę. Pseudoszarmanckiemu ukłonowi towarzyszy wymienienie nazwiska:

N. jestem. Proszę pani, ja owszem wyglądam młodo, ale chory jestem. Inwalida II grupy. Przed chwilą byłem u lekarza, jutro jadę do Warszawy do mojego specjalisty. Tak, tak, ludzie z inteligencją genetyczną nie mają po co żyć na świecie, a jeżeli już żyją, to krótko. Ale to trzeba przeczekać, trzeba przeczekać. A radio przydałoby mi się. Do tej pory sobie nie kupiłem. Nie mam za co.

2.

— Dzień dobry. Czy to tu jest to radio...

Mężczyzna wyglądający na 55 lat zgiął się w proszalnym pokłonie. Nerwowo poprawiał okrągłe okulary na nosie. Ręce pocierał jakby w nieustannym geście zadowolenia z siebie. Ukrywał brudne paznokcie zginając śmiesznie palce do środka.

— Ja biedny jestem proszę pani. Tak, mam rentę, 1600 zł. Czy mam dzieci? Dwie córki. Obie studiują. Miałem kiedyś „Pioniera", zepsuł mi się. Że są biedniejsi ode mnie? No tak, to ja już pójdę.

3.

Następny chętny napełnił pokój zapachem alkoholu. Pewnie jednak podszedł do biurka. Podparł się. Położył przede mną duże czerwone ręce. Twarz z licznymi odmrożeniami, miejscami prawie sina. Mimo młodego wieku wyglądał na 50 lat. Siwe włosy, blizna na czole, zgarbiona sylwetka. Wytarty płaszcz w jodełkę nosił ślady licznych zetknięć z ziemią...

— Chciałbym dostać to radio i zanieść żonie. Tak sobie pomyślałem, że prezent byn. jej zrobił. To by się moja ucieszyła. Radio mieliśmy, ale trzeba było sprzedać. Pani rozumie, wyższe potrzeby. To jak, dostanę je... Moja się ucieszy. Siedzi w domu, to sobie posłucha. Czy nie mogę zarobić i kupić...? Mogę, ale jak dają, czemu nie spróbować.

Wychodząc zderza się w drzwiach z 16 może 19-letnim młodzieńcem.

— Patrzcie — rzucił — **i taki tutaj.**

Młody człowiek tymczasem wcale nie speszony wszedł do środka.

— Zdaje się, że dziś już nie ma prawdziwych biedaków — zaczął. — **Pijakowi szkoda dać, bo pewnie by nawet do domu nie doniósł. Ja montuję sam krótkofalówkę i potrzebne są mi niektóre części z tego aparatu. Zgłoszę się może za parę dni...**

4.

Drzwi nie pozostały długo zamknięte. W długim szeregu „potrzebujących" stanęła kierowniczka przedszkola, dziewczyna z warkoczami, prosząc o radio dla babci.

Foto: Archiwum

— Nie możemy razem korzystać z jednego aparatu — motywowała. — **Babcia lubi „Matysiaków" i „Jeziorany", a ja w tym czasie chcę słuchać swoich audycji. Ciągle są o to awantury...**

Zgłosił się także uliczny żebrak udający niewidomego, woźny szkolny, któremu nudzi się w dyżurce, kobieta chora na padaczkę. Zagroziła atakiem, jeśli nie podam adresu właścicieli „Radioli". Był jeszcze taki, co podawał się za znachora i obiecywał bezpłatne leczenie. Kilku pijaków, paru cwaniaków...

W tej sytuacji nie bardzo miałam komu podać adres owych zacnych ludzi. Pod koniec dnia, kiedy sądziłam, że już nikt nie przyjdzie, ktoś nieśmiało zastukał do drzwi. Po kilkakrotnym proszeniu wszedł, a raczej wsunął się wysoki, przeraźliwie chudy mężczyzna. Stanął, rozejrzał się po pokoju. Sprawiał wrażenie, jakby się czegoś obawiał. Blade, za długie ręce, pożółkłe od papierosów palce oparł mocno na krześle. Widać było, że pracą fizyczną nie grzeszył. Nie budził zaufania. W pewnym momencie, nim zdążył jeszcze cokolwiek powiedzieć zachwiał się, skulił, usiadł na krześle.

— Nie, nie. Nie jestem pijany. Jestem chory. Na co? A, taka tam choroba... Rencistą jestem od 12 lat. Moja żona też jest chora. Nie może chodzić. A czy jest jeszcze to radio? Wlepiał w coraz to inny przedmiot blade, bez wyrazu, niebieskie oczy. Smutno w domu. Z radiem byłoby weselej.

Nie byłam zbyt skłonna podawać mu adresu staruszków, ale zaczął prosić. Niech mi pani da to radio, niech się pani zlituje. Zaczął nawet płakać. Pomyślałam, że radio w końcu komuś trzeba dać. Może to naprawdę uczciwy człowiek.

— No dobrze, ale za kilka dni przyjdę sprawdzić czy pan radia nie sprzedał, nie przepił...

Nie skończyłam jeszcze, jak zerwał się z krzesła, stanął przede mną i zaczął nieomal krzyczeć.

— Nie wolno, nie wolno. Do nas nie wolno przychodzić. Żona nie może się denerwować. Radia nie sprzedam nigdy, ale do nas nie wolno. Kiedyś może sam zaproszę. Przekona się pani. Teraz nie wpuścimy nikogo.

Osłupiałam. A mężczyzna ów znowu zmienił krzyk w prośbę. Usiłując złapać mnie za ręce mówił szybko.

— Zaklinam, niech nam pani da radio, błagam o adres tych właścicieli.

Dałam. Ze strachu. Szybko napisałam adres na kartce. Wzięłam adres mężczyzny, obiecując nie odwiedzać. Może to naprawdę biedny człowiek — usprawiedliwiałam swoją decyzję. Może mieszkanie brudne i wstydzi się... Wątpliwości jednak nie opuszczały mnie. Po kilku dniach postanowiłam udać się pod zapisany adres. Może sąsiadów rozpytam — pomyślałam.

Długo szukałam, nim w ciemnym podwórku wskazano mi oświetlone okna, z których dolatywało granie radia. Na podwórku, przy pompie kobieta nabierała wody do wiader. To ona wskazała mi okna, patrząc na mnie podejrzliwie.

— Eee, pani to pewnie nieznajoma. Radzę tam dziś nie wchodzić. To nałogowy alkoholik. Leczy się wprawdzie, ale ja tam w to nie wierzę. A nie dość, że pije, to jeszcze kradnie. Słyszy pani, jak radio ryczy. Nigdy radia nie mieli, nic tylko ukradli. Tam w izbie tylko dwa łóżka, stół i kredens. Reszta na wódkę poszła. Pewnie i dziś tam pijaństwo. Nie, krzyków jakoś nie słychać, ale pewnie to radio zagłusza. Co? Mówi pani, że radia nie ukradli? Dostali? Za darmo? Świecie, świecie, co to się wyprawia, żeby tacy radia dostawali. A tu uczciwy człowiek charuje od świtu do nocy, a taki dostaje za darmochę...

Do mieszkania Jana P. nie weszłam. Poczekam na zaproszenie.

FILM

KONFRONTACJE 75

O model Konfrontacji nie mamy się już co spierać. Doświadczenia ostatnich kilku lat dowiodły, że nasze poglądy i opinie nie mają nań żadnego wpływu. Dystrybutor czyni tak jak uważa za słuszne, możliwe i pożyteczne ze swego punktu widzenia. I właściwie publiczność nie może czuć się zawiedziona czy oszukana, gdyż model ten ukształtował się już na stałe, wedle zasady, którą, relacjonując ubiegłoroczne Konfrontacje, nazwałam: „cały repertuar w dwa tygodnie". Na pierwszym łódzkim seansie Konfrontacji 75 pokazano publiczności Polską Kronikę Filmową, w której reporter uwiecznił migawki z przebiegu tej imprezy w Warszawie, informując zebranych, że wszystkie filmy Konfrontacji trafiają w tym roku na ekrany naszych kin. Nikt się temu nie zdziwił, nie wyraził żalu z powodu jednorazowego wydania sumy 300 złotych na konfrontacyjne karnety. Znaczyć to może, że albo lubi się „mieć z głowy" chodzenie do kina w ciągu całego roku, znaczyć to też może, że uważa się Konfrontacje za swoisty przewodnik po tym, co w tegorocznym repertuarze najwartościowsze, może to też znaczyć, że udział w Konfrontacjach pozostaje nadal małym snobizmem, uciechą, że wiele filmów widziało się wcześniej niż mogli to uczynić inni.

Osobiście, coraz bardziej dojrzewam do przekonania, że pożytki płynące z 16-dniowych codziennych spotkań z filmem nie są zbyt wielkie. Co więcej, dla odbioru tych filmów są raczej szkodliwe. Jeśli spotkaniom tym towarzyszy szczególna atmosfera niezwykłości, niepowtarzalnej szansy obejrzenia filmów wybitnych czy ciekawych z innych powodów, jeśli ich ogląd w innych warunkach jest niemożliwy, wówczas koncentracja uwagi i emocji jest silniejsza. Doświadczają tego uczestnicy różnych, nie tylko filmowych, festiwali. Doświadczyli też tego zapewne widzowie dawnych polskich Festiwali Filmowych zwanych później Konfrontacjami.

Przy obecnym modelu i profilu tej imprezy aktywność w niej uczestniczenia przemieniła się w codzienne chodzenie do kina, w którym pokazują filmy bardzo różnej jakości, w tym niestety nie tylko przeciętnej, ale wręcz bardzo złej (vide jugosłowiański **„Dom"** czy niemiecki **„Lotta w Weimarze"**). W kinie tym w sposób zupełnie beztroski serwuje nam się na przemian przeciętność, czysty choć efektowny komercjalizm (**„Szczęki", „Ojciec chrzestny II"**), filmy istotnych choć różnorodnych treści społecznych (**„Premia", „Sekcja specjalna"**) i filmy swą rangą myślową i artystyczną stojące o kilka klas wyżej od owej przeciętności, więcej — sytuujące się w zupełnie innych rejonach tej dziedziny twórczej działalności, którą nazywa się filmem (**„Portret rodzinny we wnętrzu", „Zawód — reporter", „Widmo wolności"**). W tej sytuacji zachodzi swoista unifikacja wartości, neutralizacja wrażeń intelektualnych, emocjonalnych i estetycznych. Zaczynamy mieć do czynienia ze szczególnym jarmarkiem filmowym, w trakcie trwania którego trudno mówić o autentycznym przeżyciu dzieła sztuki.

Czy zatem w tegorocznych Konfrontacjach jakieś filmy zdołały wybronić swoją autonomiczną, artystyczną osobowość? Na pewno tak. Uwagi powyższe dotyczą wrażeń ogólnych, atmosfery, w której spotkania z nimi odbywają się, atmosfery, którą osobiście, jak powiedziałam, coraz słabiej akceptuję. O poszczególnych filmach będzie okazja mówić, gdy za kilka tygodni czy miesięcy znajdą się na ekranach. Dziś tylko kilka uwag i spostrzeżeń nasuwających się z powodu globalnego ich widzenia w całości imprezy.

Jedno jest pewne — w zestawie Konfrontacji 75 królowały filmy wielkich mistrzów sztuki kina, co skonstatować można bez posądzenia o snobizm. Życie przyniosło jednak informację, która uświadomiła prawdę o tym, że ci, których nazwiska znajdują się na pierwszych miejscach listy tych największych współczesnego kina, stanowią pokolenie twórców najstarszych. Śmierć Luchino Viscontiego prawdę tę uczyniła przeraźliwie jasną. Oglądaliśmy na Konfrontacjach jego ostatni film **„Portret rodzinny we wnętrzu"**, dzieło, którego wartość i znaczenie określone jest całokształtem twórczości tego artysty. Film ten, tak jak i **„Widmo wolności"** Bunuela, **„Zawód — reporter"** Antonioniego, a nawet **„Dersu Uzała"** Kurosawy, zwraca naszą uwagę na pewną cechę wspólną dzieł wielkich filmowców. Odnajdujemy w nich stałe motywy ich twórczości, tak jakbyśmy słuchali tego samego motywu muzycznego w różnorodnych aranżacjach. Istotne jest jednak to, iż widać motywy te nie są obsesją jednego człowieka. Widać wybrali oni z rozlicznych problemów współczesnego świata te sprawy, które są współudziałem innych. Tylko dlatego można ciągle na nowo przeżywać smutek pożegnań przeszłości w filmach Viscontiego, rozpacz samotności i niemożności ucieczki od siebie samego w filmach Antonioniego, świadomość grzechów społecznych i moralnych w filmach Bunuela, poszukiwanie dobra w filmach Kurosawy. Dzieła tych twórców fascynowały jeszcze jednym. Odkrywamy w nich coraz głębszą metaświadomość, swoisty i różny dla każdego z autorów autotematyzm, który w każdej sztuce jest przecież dowodem jej tożsamości i dojrzałości.

Drugą grupę godną wyodrębnienia stanowiły filmy o problematyce społeczno-obyczajowej. Szczególną uwagą publiczność nasza obdarowała film **„Premia"** Mikaeliana (na mym seansie był to jedyny film obdarowany oklaskami). Po prostu, ta radziecka wersja „dwunastu gniewnych ludzi" dotykała obszaru spraw bliskich i ważnych w naszym życiu społecznym. Dlatego też mogła się podobać **„Adopcja"** Meszaros czy nawet bułgarski **„Wieśniak na rowerze"** Kirkowa. Jesteśmy wszyscy spragnieni filmów, które byłyby nasycone realiami życia wspólnego dla ludzi z tego samego kręgu społecznej sytuacji i jej najistotniejszych problemów. Dlatego też z ciekawością, ale nie z takim samym zaangażowaniem, oglądaliśmy francuskie rozprawy polityczne i społeczne, jakimi były filmy **„Dupont Lajoie"** Boisseta czy **„Sekcja specjalna"** Costy-Gavrasa. Podkreślić należy, iż filmy te cechowała ogromna, budząca szacunek odwaga. Na tle tych filmów jugosłowiański **„Dom"** musiał budzić zażenowanie.

Głośny na Zachodzie film Herzoga **„Każdy dla siebie i Bóg przeciw wszystkim"** chyba jednak rozczarował. Na pewno ciekawy, idei swej nie zdołał konsekwentnie i do końca przekonywająco wyłożyć. Krytycy łączą go z rozważaniami Kurosawy zawartymi w filmie **„Dersu Uzała"**. Istotnie, wykładnia tych filmów jest wspólna, kryją się za nią rozterki ludzkiej cywilizacji. Trudno się do nich nie przyznać, jednakże ni jeden, ni drugi z tych filmów, w mym przekonaniu, nie przekroczył progu przyczynkarstwa.

Obecność w obowiązującym modelu Konfrontacji takich filmów, jak **„Szczęki"** Spielbegra czy **„Ojciec Chrzestny II"** Coppoli tłumaczy się tymże modelem. Jeśli tak, to zgoda na tę obecność, zwłaszcza, że **„Szczęki"** zaspokoiły naszą ciekawość. Wiemy już, co jest największą komercjalną modą kina bieżących lat. Sądzę jednak, że skoro w porównaniu z pierwszym **„Ojcem Chrzestnym"** drugi był już tak nużący, filmy „strachu", które nadejdą do nas po **„Szczękach"** również szybko wiele stracą na swojej atrakcyjności.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o polskim zestawie filmowym przedstawionym w ramach Konfrontacji. Zakwalifikowanie **„Skazanego"** Trzosa-Rastawieckiego było po prostu zabiegiem nieuczciwym. To doprawdy nie fair proponować nam film, którego normalny żywot ekranowy trwał już kilka ładnych tygodni. Pokazanie zaś, na domiar złego w ostatnim dniu Konfrontacji, filmu **„Partita na instrument drewniany"** Januszą Zaorskiego, zrealizowanego według dramatu Stanisława Grochowiaka, było pomysłem więcej niż fatalnym. Ten film właśnie w obowiązującym modelu Konfrontacji nie mieści się. Tonacja Requiem wymaga innej, nie jarmarkowej, oprawy.

EWA NURCZYŃSKA

KSIĄŻKA

LITERACKI EKRAN

Dzisiaj będzie o książce, ale o książce, która z telewizją łączy się najściślej. Mowa o „Nowelach filmowych" Krzysztofa Zanussiego i Edwarda Żebrowskiego, którzy pod takim tytułem wydali scenariusze swoich głośnych filmów telewizyjnych.

Wydania scenariuszy pozostają ciągle w rodzimym obyczaju edytorskim ewenementem wymagającym szczególnego uzasadnienia. Brak u nas tej tradycji wydawniczej, jaka panuje w Związku Radzieckim, gdzie jest to zjawisko zupełnie normalne i regularne. Wynika to z wyjątkowej roli, jaką przypisuje się scenariuszowi stanowiącemu tam — w myśl zarówno teorii jak i praktyki — podstawę procesu twórczego w kinematografii. Ta nobilitacja literacka scenariusza jest u nas praktycznie nieznana. U nas scenariusz ma charakter dokumentu o charakterze bardziej produkcyjnym aniżeli artystycznym.

Teorii scenariusza filmowego było wiele i zmieniały się one wraz z ewolucją sztuki filmowej. Jeśli chodzi o kino współczesne, to lekceważy ono scenariusz, sprowadzając go do elementarnego zapisu, szkicownika sytuacji, natomiast istota filmowego tworzenia przenosi się na plan, gdzie improwizuje reżyser czuły na podszepty formowanej rzeczywistości. Dlatego też pierwszym odruchem czytelnika biorącego do ręki zbiór scenariuszy Zanussiego i Żebrowskiego musi być zdumienie. Mogłoby się bowiem zdawać, że tak bardzo współczesne filmy tych autorów zrodziły się właśnie z ducha improwizacji, że ich materia tak wiarygodna i psychologicznie sugestywna musiała się rodzić spontanicznie, raczej z aktorskiego żywiołu aniżeli literackiego projektu. Tymczasem jest inaczej. Teksty te, jeśli porównać je z filmowym obrazem, odznaczają się niewiarygodną precyzją w wyznaczeniu mikrodramaturgii i wizualnego konkretu. To, co na ekranie uderzało niezwykłą plastyką uzewnętrznienia psychicznych reakcji i zachowań oraz znakomitym dialogiem zasłyszany w codzienności, to istnieje, słowo w słowo, w lekturze. Wręcz budzi się podejrzenie, że autorzy wydane scenariusze spisali z ekranu, wykorzystując jako model powołaną przez siebie do życia rzeczywistość. Wrażenie przyległości obrazu filmowego do tekstu literackiego jest tak kompletne, że scenariusze stają się dla tych, którzy znają filmy swoistymi lekturami pamięci. Uruchamiają bowiem na jej ekranie poznane już sceny, postacie, sytuacje, obrazy.

Wszystkie scenariusze z wyjątkiem jednego, czyli „Śmierci prowincjonała" są scenariuszami filmów telewizyjnych. Autorzy we wstępie do zbioru tak określają ich poetykę: „Istniała (...) teoria określająca tzw. specyfikę telewizyjną. Była w niej mowa o kameralności, zwartości akcji, przewadze zbliżeń itp., a także wielomilionowej widowni, o jej upodobaniach i wymaganiach." Dystans w stosunku do owej teorii specyfiki telewizyjnej, jaki wyczuwalny jest w tych słowach, wynika nie tylko stąd, że mowa o teorii bałamutnej, bo opierającej się na technicznych, a zatem przejściowych wyznacznikach telewizyjnego medium. Istotniejsza jest droga artystyczna obu reżyserów, którzy tę kameralną poetykę z powodzeniem kontynuowali na ekranie kinowym. Co więcej, można wskazać na niektóre z filmów telewizyjnych, które były czymś na kształt uwertury do pełnometrażowych spektakli. I tak „Szansa" Żebrowskiego była tym samym dla „Ocalenia" tegoż reżysera czym dla Zanussiego „Życia rodzinnego" była jego „Rola".

Wydane scenariusze, przypomnijmy ich tytuły: „Twarzą w twarz", „Zaliczenie", „Szansa", „Góry o zmierzchu", „Rola", „Za ścianą", „Miłosierdzie płatne z góry", „Hipoteza" i „Śmierć prowincjonała", pozwalają na rekonstrukcję świata obu autorów. Interesują ich moralne komplikacje współczesnych stosunków międzyludzkich. Dwa motywy przenikają tę twórczość i organizują jej ideologię. Pierwszy, to konfrontacja starości i młodości, gdzie bogactwo życiowego doświadczenia zderza się z drapieżnym instynktem życia za cenę kosztów moralnych („Zaliczenie", „Góry o zmierzchu", „Miłosierdzie płatne z góry"). Drugi opiera się na ukazaniu ludzkiej obojętności na cudzy los („Twarzą w twarz", „Za ścianą", „Hipoteza"). Oba te motywy łączy przekonanie o interesowności ludzkiej natury, przekonanie, że ludzi w tym świecie łączy ze sobą nadzieja zysku. Moralistyczna pasja zgłębiania ludzkiego labiryntu prowadzi autorów w stronę dyskretnej dydaktyki humanistycznej.

Opublikowane scenariusze na nowo uświadamiają cenne miejsce tych skromnych przecież filmów. Zakreślają one w naszej kinematografii krąg nieomal nieobecny — horyzont wartości moralnych.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

REPORTAŻ

LUDZIE UCIEKAJĄ Z CHODAKOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

— W tym roku szkołę ukończy osiemdziesięciu mechaników i elektromonterów — mówi zakładowy psycholog, mgr Stanisława Rogulska. — **Pracę u nas podejmie co najwyżej połowa, z czego znów co najmniej połowa odejdzie po kilku miesiącach. W przyszłym roku kończą naukę chemicy. I z nimi będzie podobnie...**

Idę tropem jednego z absolwentów chodakowskiej szkoły, który rzucił macierzysty zakład. Właściwie jadę: osiem kilometrów „kocich łbów" do Młodzieszyna i z pięć kilometrów błota — do wsi **Miszczewice.**

Czesław Staniszewski ukończył szkołę i pięć lat przepracował w chodakowskim zakładzie jako tokarz. Teraz pracuje w Pruszkowie, w Miejskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Uprzemysłowionego. Motywy przenosin są typowe:

— Tu mam świeże powietrze. Pracy trochę więcej, ale i dwa razy większy zarobek, a czy Pruszków czy Chodaków, niewielka już różnica. Teraz też mnie wożą zakładowym autobusem.

Brat Czesława, Władysław, pracuje w Zakładach Tworzyw Sztucznych w — położonym po przeciwnej stronie Sochaczewa — Boryszewie. Nie pracuje tylko matka. Ktoś przecież musi, pod nieobecność męża i synów, doglądać wcale pokaźnego gospodarstwa. Ojciec, też Czesław, 29 rok pracuje w Chodakowie.

— Kto u nas przepracował więcej niż pięć lat — mówi dyrektor do spraw ekonomiczno-pracowniczych, mgr Stefan Fornalczyk — **z reguły zostaje tu już na dobre. Bo przecież i nasz zakład można polubić.**

Wiskoza — to chemia. Przemysł wcale nie lekki. Przemysł z kwasami i alkaliami, siarkowodorem i dwusiarczkiem węgla.

— Moim zdaniem narosły wokół zakładu przesadne opinie o szkodliwościach — mówi dyrektor naczelny, inż. Jan Szrama — **nie dość zwalczane. Istniejące zatrucia wynikają z nieprzestrzegania zasad bhp...**

Nad całym Chodakowem góruje 85-metrowy — jeden z trzech — komin fabryczny. Komin już nie dymi. Jest to swoisty pomnik przeszłości i symbol nowego, które do Chodakowa przyszło już w latach sześćdziesiątych.

— Zakład nasz nie stanowi zagrożenia dla środowiska — mówi kierownik działu planowania i statystyki, mgr Władysław Kowalewski — **mieścimy się już w dopuszczalnych normach. Również i w samym zakładzie mieścimy się w normach, chociaż ongiś stężenie szkodliwych gazów przekraczało nawet i pięciokrotnie dopuszczalny poziom.**

Stanisław Szymański — st. sierż. straży przemysłowej — na obchód terenu zakładu potrzebuje całej godziny. Bo i teren rozległy; będzie ładnych kilkanaście hektarów. Fabryka rozrosła się i rozrasta nadal. Trwa modernizacja.

Oto ostatni wydział, w którym przeszłość jest wciąż żywa. Alkalizernia i dojrzewalnia. Tu jeszcze większość czynności wykonuje się ręcznie. Tu wciąż wdycha się wyziewy ługu i zapach rozkładającej się celulozy.

Marian Maciejewski i **Zbigniew Piórkowski** wyładowują właśnie poszatkowaną przez „szarpacz" celulozę do przenośnej skrzyni. Tę czynność będą jeszcze wykonywać tylko kilka miesięcy, wkrótce bowiem ruszy wydział odtworzeniowy, w którym proces technologiczny będzie przebiegał automatycznie w hermetycznym ciągu maszyn i urządzeń. Tak, jak to się już dzieje w nowej siarczkowni, gdzie w tej chwili Wacław Sałaciński kontroluje tylko wskazania przyrządów pomiarowych tam, gdzie jeszcze niedawno pochylać się musiał nad smrodliwymi kadziami, własnoręcznie ładując w nie celulozę i chemikalia. W przędzalni też już inaczej się pracuje. Poprawione oświetlenie, nowa instalacja wentylacyjna, sto dwadzieścia trzy nowe — hermetyczne — maszyny. Przy jednej z nich pracuje **Jan Jóźwiak:**

— Przeszedłem tu z Warszawskiej Wytwórni Wytaczarek. Praca też nie jest lekka, ale jak się dobrze przyłożę, to i dobrze zarobię.

Ale **Wanda Sobczak** ma inne zdanie:

— Każą nam pracować na półtorej maszyny. Nie to, żebym nie dała rady, ale naharować się trzeba. No tak, zarobię wtedy więcej. Ile? A ze cztery, ale komu się tak chce pracować?

Pracować się chce **Wacławie Karaś** na tym samym wydziale włókienniczym. Właśnie obsługuje ona maszynę przewijającą w motki ostatnią nowość zakładu: „Chostilanę" — włóczkę poliamidowo-poliestrowo-wiskozową.

— Ja? Za nic na świecie nie poszłabym z tej fabryki.

Wacława Karaś pracuje tu dwudziesty rok. Mieszka w Chodakowie.

— Trzon naszej załogi stanowią mieszkańcy Chodakowa — mówi dyrektor Stefan Fornalczyk — **z pokolenia na pokolenie związani z fabryką.**

Ci wierni fabryce, mimo zmiennych jej losów, pracują tu nierzadko całymi rodzinami. Rodzice i dzieci, dziadkowie i wnuki, siostry i bracia, żony i mężowie. Na różnych wydziałach i różnych stanowiskach po kilka, kilkanaście razy powtarzają się te same nazwiska: **Flisowie, Bąbałowie, Górniccy, Niedzielscy.**

— Gdyby doliczyć wszystkich kuzynów i kuzynki — żartuje Józef Jordan — to nasze rodzinne „klany" liczyłyby po dwadzieścia czy trzydzieści osób.

CHODAKÓW — sześciotysięczne miasteczko, które zrodziło się z głuchej wiochy. Małe, ale zadbane, pełne zieleni, przypominające na pierwszy rzut oka bardziej śródleśną miejscowość wypoczynkową, niż fabryczną osadę.

Ale fabryka — to Chodaków, a Chodaków — to fabryka. W centrum — osiedle zakładowe na półtora tysiąca mieszkańców, ozdobione niezwykłym jak na takie miasteczka, zakładowym domem kultury. Dom imponujący, z salą widowiskową na 350 miejsc. Nic dziwnego, że zdobył ongiś tytuł „Mister województwa warszawskiego". A obok, również przez fabrykę postawiona, równie piękna i oryginalna, pełnowymiarowa hala sportowa.

— Chodaków bardzo mi się spodobał — mówi Bogumiła Klusek. — **Przyjechałam tu z Makowa Mazowieckiego. Od kilku miesięcy już tu pracuję i jestem bardzo zadowolona.**

Jej rówieśnica, **Ewa Łomiak**, pracująca przy maszynie przewijalniczej, stwierdza:

— Tam, skąd przyjechałam, w województwie ostrołęckim, nie ma pracy dla kobiet. Dowiedziałam się, że w Chodakowie potrzebują ludzi...

Obie mieszkają w hotelu pracowniczym. W hotelu tym mieszka także 150 chłopców z Ochotniczego Hufca Pracy, którzy tu zdobywają zawód. Ilu z nich zostanie?

— Wprawdzie największą fluktuację wywołuje u nas młodzież — mówi Stanisława Rogulska — **ale zakład stawia na młodych ludzi. Dużą szansą są dla nas ludzie z terenów, których nie zdołał jeszcze „rozpieścić" nadmiar zakładów przemysłowych. Mimo że dzięki modernizacji i automatyzacji produkcji zmniejszamy stopniowo zatrudnienie, nowych rąk do pracy będziemy przecież wciąż potrzebować.**

A ludzie odchodzą. Na szczęście — przychodzą inni. Każdy nowy człowiek w zakładzie, to jeszcze jedna szansa: może to właśnie ten — właściwy.

— Teraz zimno, smrodu nie czuć — mówi Czesław Staniszewski, który uciekł z Chodakowa — **ale niech pan tylko przyjedzie wiosną, wtedy pan wszystko zrozumie...**

— Teraz, przy takiej pogodzie Chodaków nie prezentuje się najlepiej — mówi Józef Jordan, który przepracował tu już dwadzieścia dwa lata — **ale niech pan przyjedzie do nas w maju. Wtedy zobaczy pan, jak tu pięknie...**

Jednym Chodaków śmierdzi, innym — piękny się wydaje. Wrócę tu w maju, bo jeśli nawet rzeczywiście Chodaków śmierdzi, to jest to woń ciężkiej i pożytecznej pracy.

JACEK INDELAK

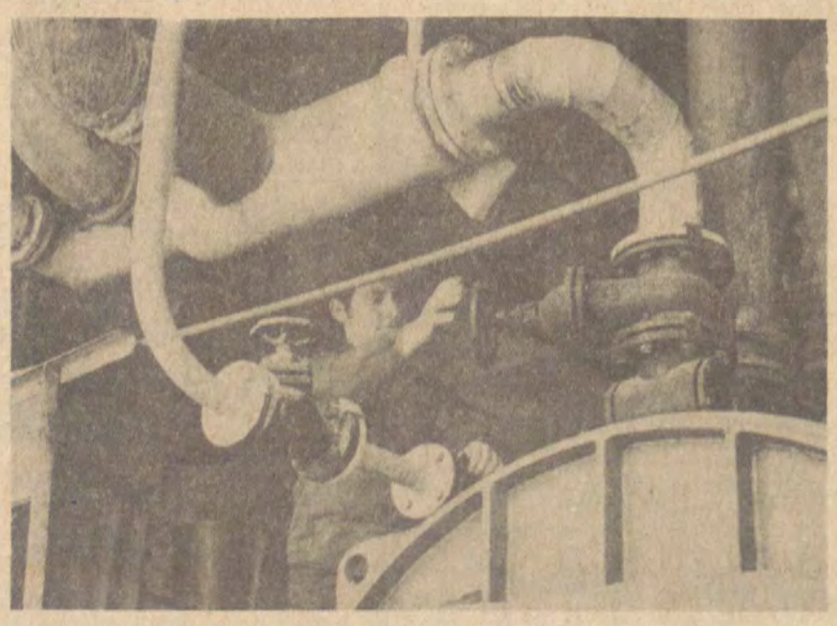

Fot. Z. W. Nowak

ŚWIAT POLITYKA WYDARZENIA KOMENTARZE

U PRZYJACIÓŁ

ZSRR

Wkrótce w Moskwie rozpoczną się uroczystości 200-lecia Teatru Wielkiego. Niewiele jest scen muzycznych na świecie, które mogą się poszczycić tak długą tradycją i tak wielkimi zasługami dla rodzimej kultury.

Dzieje tej sceny rozpoczynają się wiosną 1776 roku, kiedy to możny mecenas sztuki książę Urusow zaczął organizować stałe przedstawienia operowe w Moskwie, wkrótce wznosząc przeznaczony dla nich gmach teatralny. W roku 1806 scena przechodzi pod zarząd Dyrekcji Teatrów Carskich uzyskując miano — państwowej. W 1825 r. scena otrzymuje nowy budynek, ówcześnie drugi pod względem wielkości w Europie (po „La Scali") i tytuł — Wielki. W czasie wojny domowej rozważano zamknięcie teatru na okres przejściowy, ale sprzeciwił się temu Lenin. W 1919 r. za zasługi dla narodowej kultury teatr zyskuje zaszczytne miano — Akademicki.

Tak więc Państwowy Akademicki Teatr Wielki w Moskwie, potocznie zwany „Bolszoj", przez dwa wieki swego istnienia zapisał niejedną wspaniałą kartę w dziejach światowej kultury muzycznej. W jego historię wpisane są nazwiska takich twórców jak Czajkowski, Dargomyżski, Musorgski, Rimskij-Korsakow, Borodin, którzy na tej scenie wystawiali swe dzieła. W czasach nam bliższych były to nazwiska Gliera, Prokofiewa, Szostakowicza.

Rangę tej sceny określały nie tylko nazwiska kompozytorów, ale osiągnięcia kierowników artystycznych i pierwszych dyrygentów. Światową sławę zdobywali śpiewacy opery: Nieżdanowa, Sobinow, Szaliapin, Dzierżyńska, Obuchowa, Maskowa, Kozłowski, Lemieszew, Rejzen oraz gwiazdy baletu z Haliną Ułanową na czele. Obecnie synonimem najwyższego kunsztu sztuki baletowej jest nazwisko Maji Plisieckiej.

Wierność najlepszym tradycjom inscenizacyjnym i rodzimej twórczości, mistrzostwo wykonawców — wszystko to sprawia, że co wieczór 2-tysięczna widownia w gmachu głównym Teatru Wielkiego i mieszcząca 6 tys. osób jej filia w Kremlowskim Pałacu Zjazdów zapełniają się miłośnikami sztuki operowej. Przybywają tu nie tylko moskwiczanie, ale widzowie z najodleglejszych zakątków Kraju Rad oraz wielu gości zagranicznych.

Jubileusz Państwowego Akademickiego Teatru Wielkiego w Moskwie jest świętem całej radzieckiej kultury. W czasie przewidzianych na maj głównych obchodów czołowi artyści tej sceny występować będą w ośrodkach przemysłowych i kulturalnych Kraju Rad, na największych budowach 5-latki. Moskiewskich śpiewaków i tancerzy oklaskiwać będą m.in. budowniczowie Magistrali Bajkalsko-Amurskiej. Na scenie teatru obok nowych premier, trwać będzie przegląd 25 spektakli — od najdawniejszych do najnowszych pozycji repertuarowych. Przegląd otworzy balet „Giselle" znajdujący się na afiszu tej sceny od 1844 r. a zamknie opera Kiryłła Mołczanowa „Tak tu cicho o zmierzchu". Obchody jubileuszu upamiętnią specjalne edycje płytowe, wśród nich nowe nagrania oper „Chowańszczyzna", „Dama pikowa" i „Tragedia optymistyczna". Zrealizowano także wiele filmowych wersji spektakli baletowych Teatru Wielkiego.

Uroczystości 200-lecia Teatru Wielkiego w Moskwie służą przypomnieniu zasług tej sceny dla kultury muzycznej nie tylko Kraju Rad. W wywiadzie dla Agencji Prasowej „Nowosti" Borys Pokrowski, główny reżyser teatru nakreślił ideowo-artystyczne założenia działalności tej placówki. „Główna społeczno-artystyczna misja teatru — powiedział Pokrowski — wyraża się w zespoleniu tradycji i dnia dzisiejszego sztuki teatralno-muzycznej, dalszym jej rozwijaniu i przepajaniu wielkimi ideami naszych czasów. Teatr Wielki był i musi pozostać wzorem placówki służącej całemu społeczeństwu".

* * *

Stałą, twórczą współpracę utrzymuje z narodową sceną muzyczną ZSRR Teatr Wielki w Warszawie. Ramy tej współpracy ujęto w zawartej ostatnio 5-letniej umowie. Kontakty między teatrami istnieją od dawna i mają charakter wielostronny, jak występy całych zespołów, wymiana solistów czy gościnne prace inscenizatorów. Np. ostatnio radzieccy realizatorzy rozpoczęli pracę nad operą Szostakowicza „Katarzyna Izmajłowa", której premiera zapowiadana jest w Warszawie na wrzesień.

EGIPT

IZOLACJA W ŚWIECIE ARABSKIM

Decyzja prezydenta Sadata o jednostronnym wypowiedzeniu układu o przyjaźni i współpracy między Związkiem Radzieckim i Arabską Republiką Egiptu, zdaniem arabskiej, europejskiej, a nawet części amerykańskiej prasy, przynosi duże szkody przede wszystkim samemu Egiptowi, jak również wszystkim narodom arabskim. Krok Sadata stworzył przeszkody w poszukiwaniu dróg sprawiedliwego rozwiązania bliskowschodniego problemu, bardzo istotnego także z punktu widzenia przyszłości Republiki Egiptu.

Interesujący artykuł naświetlający manewry Sadata i dzisiejszą sytuację ARE zamieścił „Le Monde Diplomatique":

„Już do chwili dojścia do władzy Sadat nie ukrywał swych dążeń do zbliżenia z USA. Preludium do tego było usunięcie w maju 1971 roku (w przeddzień wizyty w Kairze sekretarza stanu USA, W. Rogersa) Ali Sabriego, inspiratora poprzedniej orientacji politycznej. Latem 1973 roku Sadat wezwał naród od zastanowienia się nad „dialogiem demokratycznym", kładąc przy tym akcent na kwestie rozwoju sektora prywatnego, pobudzania zagranicznych inwestycji, szerokiej liberalizacji ekonomiki. Prezydent zażądał wniesienia poprawki do Karty Narodowej z 1962 roku (która zastępuje konstytucję), żeby usunąć z niej „niektóre interpretacje marksistowskie".

W lutym 1974 roku Sadat wydał trzy dekrety: o wprowadzeniu Najwyższej Rady do Spraw Międzynarodowej Współpracy Ekonomicznej, o poprawce do Ustawy o arabskich i zagranicznych inwestycjach oraz o stworzeniu stref wolnych od podatków. Poprawka stwarzała szerokie gwarancje inwestycjom zagranicznym i wykluczała nacjonalizację.

Następnym krokiem Sadata był 18-miesięczny tzw. „przejściowy plan rozwoju ekonomicznego," który miał przygotować grunt dla planu 5-letniego w latach 1976-1980. Decyzje Sadata wyrażały jego koncepcję polityczną zwaną „polityką otwartych drzwi" („infitah"). Zbliżenie z USA było właśnie bezpośrednią konsekwencją owej „nowej polityki" egipskiego prezydenta.

Zdaniem Sadata, tylko bliskie stosunki z USA, do których dążył zresztą od dawna, mogły stworzyć przesłanki do rozwiązania konfliktu z Izraelem, boć przecież Tel Aviv jest całkowicie uzależniony od Waszyngtonu. Z drugiej strony — według Sadata — zbliżenie z USA miało ponoć widoki na powodzenie, bowiem świat arabski dzięki „broni naftowej" wyszedł z kryzysu ekonomicznie wzmocniony. Jednakże na horyzoncie frontu wewnętrznego pojawiła się pierwsza czarna chmura, kiedy naczelny redaktor dziennika „al-Ahram", Hajkel, w lutym 1974 roku wystąpił z artykułem wstępnym, w którym ostrzegał przed niebezpiecznymi konsekwencjami nowej polityki. Autor artykułu, będący dotąd przywódcą zwolenników proamerykańskiej orientacji, wyrażał poważne zastrzeżenia wobec orientacji zachodniej. Nazajutrz usunięto go z zajmowanego stanowiska. Odtąd rozpoczęła się kampania antynaserowska zarówno w prasie, w szczególności gdy naczelnym redaktorem „al-Ahram" został Ali Amin, dziennikarz, którego Naser wydalił z Egiptu za współpracę z CIA, jak i na ekranach kin, kiedy to zezwolono na wyświetlanie (zakazanych dotąd) filmów dyskredytujących rządy Nasera.

Na ulicach wybuchły zamieszki spowodowane częstokroć rosnącymi trudnościami życia codziennego. We wrześniu 1974 roku robotnicy Heluanu ogłosili strajk, wysuwając żądania ekonomiczne. 1 stycznia 1975 roku robotnicy wyszli na ulice Kairu, żeby publicznie przedłożyć swoje żądania. Demonstrację stłumiono, podobnie jak stłumiono wystąpienia robotników w marcu 1975 roku w fabrykach włókienniczych el-Mahalla el-Kubra. Sadat wystąpił z przemówieniem radiowym poświęconym w całości sytuacji wewnętrznej. Przyznał wtedy po raz pierwszy, że polityka ekonomicznej preorientacji poniosła fiasko. W przemówieniu powiedział również, iż „zmiany, które pragnie wprowadzić, nie dotyczą ludzi, lecz metod, że chodzi o zmiany w treści". Dlatego też nowy rząd sformowany przez Sadata wziął kurs na dokonanie wewnętrznych przebrażeń w ekonomice. Zwraca jednak uwagę fakt, iż do nowego gabinetu nie weszli ani technokraci, ani ekonomiści, jak to było dotąd. Wraz z odejściem Chigazi, byłego profesora uniwersytetu w Kairze, opuścił swoje stanowisko także Ismail Sabri Abdalla, minister planowania, znany ze swego marksistowskiego ujmowania problemów ekonomicznych.

Nowa polityka ekonomiczna Sadata doprowadziła do pogorszenia warunków życia ogromnej większości społeczeństwa zarówno w miastach, jak i na wsi. Gwałtowna inflacja, która osiągała 30 procent rocznie, niskie płace, rosnące trudności życia codziennego i inne, powodują ciężką, przygnębiającą atmosferę. Jak można wyżyć za 12 funtów egipskich miesięcznie, (jest to średnie uposażenie urzędnika państwowego), jak znaleźć mieszkanie, jeśli miasto jest przeludnione i jeśli mieszkania sprzedaje się po 900 z górą funtów egipskich za metr kwadratowy, w porównaniu ze stoma funtami sprzed trzech lat? Jak wyżyć, jeśli brakuje podstawowych produktów żywnościowych i wyrobów pierwszej potrzeby, a w dodatku ceny idą niepowstrzymanie w górę? Gniew narasta, kiedy garstka uprzywilejowanych rozjeżdża ulicami miast w ogromnych luksusowych limuzynach, kupuje wszystko o czym tylko zamarzy po czarnorynkowych cenach, przesiaduje w kabaretach i restauracjach ciągnących się wzdłuż drogi prowadzącej do piramid.

Dzięki polityce „otwartych drzwi", będącej hasłem prezydenta Egiptu i odzwierciedlającej jego filozofię, znacznie rozszerzyła się prywatna działalność w zakresie importu i eksportu. Coraz bardziej szerzy się korupcja. Tu i ówdzie mówi się w związku z tym o „wietnamizacji", napomykając o praktykach stosowanych w Sajgonie do maja 1975 roku. Owa klasa „pośrednia", której przedstawiciele spotyka się tylko w Kairze i w innych dużych miastach egipskich, żyje poza egipską rzeczywistością.

Liberalizacja prasy i zniesienie cenzury, o czym dużo mówiono wkrótce po wojnie październikowej 1973 roku, nie zostały dotąd wprowadzone w życie. Niedawno Sadat bez wahania zaliczył dziennikarzy do liczby swoich wrogów, chociaż te koła egipskiej inteligencji zawsze odgrywały tylko pasywną rolę w politycznym życiu narodu.

O wiele bardziej realne i konkretne wpływy posiada wojsko. Ono było wiodącą siłą rewolucji, jak również autorem sukcesów w wojnie październikowej 1973 roku. Po wyleczeniu ran odniesionych w porażce 1967 roku, znów bierze aktywny udział w życiu kraju. Coraz więcej wyższych oficerów wysuwa się na odpowiedzialne stanowiska w różnych organach władzy. Niemniej problem politycznej wagi armii jest jeszcze wciąż otwarty. Odzwierciedla ona różne prądy ideologiczne, ale w rzeczywistości jest apolityczna i odgrywa rolę na jaką pozwala jej państwo.

Jeśli chodzi o klasę robotniczą, to od czasów Nasera jest ona ważnym czynnikiem życia politycznego kraju. Jednakże dziś robotnicy są praktycznie pozbawieni możliwości wyrażania swoich myśli i żądań, występując w małych organizacjach Socjalistycznego Związku Arabskiego, które ostatnio nie odgrywają już dawnej ważnej roli politycznej. W warunkach trudności ekonomicznych, egipska klasa robotnicza wyraża swoje niezadowolenie drogą strajków, organizowanych w poszczególnych sektorach przemysłu. Reżim Sadata odpowiada na to zazwyczaj represjami lub minimalnymi i złudnymi ulgami ekonomicznymi.

Egipt zajmuje w świecie arabskim bardzo ważne pozycje, co stwarza zeń, a raczej stwarzało, główny czynnik regionalnej równowagi. Jednakże od momentu podpisania egipsko-izraelskich porozumień o wyprowadzeniu wojsk, Egipt znalazł się w izolacji, która nie pozwala mu już na występowanie na tym obszarze z politycznymi inicjatywami. Czy można bowiem mówić, jak upiera się przy tym Sadat, tylko o wojskowym porozumieniu? Wszak 88 procent terytorium Półwyspu Synajskiego pozostaje pod okupacją Izraela, a wydatki wojskowe tylko w 1975 roku wyniosły miliard funtów egipskich. Tymczasem rząd Sadata mówi o konieczności reorganizacji uzbrojenia. Porozumienia o wycofaniu wojsk, uznane w rzeczywistości jako porozumienia polityczne, zamykają drogę do rozwiązania konfliktu, nie dotyczą bowiem podstawowego problemu i kryją w sobie poważne niebezpieczeństwo kryzysu.

Ponieważ Egipt jest odizolowany od innych krajów arabskich, pojawiają się antagonistyczne osie polityczne w świecie arabskim, a dzisiejsza izolacja Egiptu pozbawia go politycznych i ekonomicznych przywilejów przy uzgadnianiu pozycji ze swymi naturalnymi sojusznikami. Nic dziwnego, że Kair znajduje się w izolacji także wśród krajów Półwyspu Arabskiego. Państwa te, zasobne w ropę naftową, pogrzebały nadzieje Egipcjan na inwestycje ekonomiczne. Analogiczną sytuację obserwuje się także w planie politycznym. Mimo iż Kair zbliżył się do Arabii Saudyjskiej podzielając jej orientację, to jednak rząd w Riadzie nie przyjmuje linii egipskiej, gdyż nie pokrywa się ona z koncepcjami politycznymi Arabii Saudyjskiej. Obecni przywódcy tego kraju są wierni idei islamizmu i nie dają się wciągnąć na izolacyjną drogę Egiptu. Dlatego też Arabia Saudyjska zbliża się do krajów, które można by uważać za oś północną (Jordania-Syria-Irak), nawiązując przyjazne stosunki przede wszystkim ze stolicami postępowego świata arabskiego. Arabia Saudyjska stoi blisko USA, lecz stara się zachować samodzielność polityczną i odgrywać wiodącą rolę regionalną, przejmując w swe ręce sztandar panarabizmu, którego Egipt już nie broni.

Prezydent Sadat, który miał nadzieję, iż prowadząc politykę ukłonu w stronę Zachodu, znajdzie w niej rozwiązanie politycznych, ekonomicznych i wojskowych problemów, popadł w zależność od USA i nie osiągnął korzyści, których się spodziewał. Egipt traci swoje polityczne znaczenie. Przeżywa poważne trudności ekonomiczne, których z pewnością nie rozwiąże ani pomoc amerykańska, ani kapitalistyczna droga rozwoju, na którą Sadat wmanewrował kraj. Egipt natrafi przede wszystkim na problem zaopatrzenia wojskowego, w którego rozwiązaniu Stany Zjednoczone, jak zgodnie utrzymują obserwatorzy polityczni, nie są skłonne uczestniczyć. Zdaniem wielu Egipcjan kraj wchodzi na drogę, która wprowadza na arenę międzynarodową amerykańskie satelity..."

JERZY CZECH

■ Nowe sytuacje w Argentynie i Libanie
■ Akt dobrej woli ZSRR
■ Trzy brytyjskie tury

Argentyna i Liban. Te dwa kraje odległe od nas i od siebie były w ostatnim okresie punktami szczególnego zainteresowania. W Argentynie bowiem dokonany został przewrót, a w Libanie rozgorzały na dobre walki zbrojne.

Sytuacja w Argentynie już od dłuższego czasu nosiła znamiona kryzysu politycznego. Panował chaos, a pani Peron nie panowała nad rozwojem wydarzeń i poddawana była coraz powszechniejszej krytyce. Świat nie zdziwił się więc, kiedy depesze z Buenos Aires zawiadomiły, że **władzę przejęła rada wojskowa.** Gen. Jorge Videla pospiesznie zaprzysiężony został jako 38 prezydent. W historii Argentyny (kraj ten uzyskał niepodległość w 1816 roku) jest to już piętnasty wojskowy, który staje na czele państwa.

Rada ogłosiła, że jej **głównym celem będzie wcielenie w życie programu odbudowy narodowej,** zwłaszcza w dziedzinie gospodarki i że czynić to będzie „bez nienawiści i gniewu". Program ten zasadza się m.in. na rygorystycznych oszczędnościach i podjęciu na nowo negocjacji z USA i Japonią na temat argentyńskiego zadłużenia.

„Główną troską nowych władz — pisze AFP — jest dowieść, że reżim ich nie ma nic wspólnego z reżimami w innych krajach... Chodzi tu głównie o odżegnanie się od jakichkolwiek podobieństw z reżimami typu Pinocheta..."

Komunistyczna Partia Argentyny ogłosiła oświadczenie, w którym podkreśla się m.in., że **wiele celów przedstawionych przez juntę wojskową „odzwierciedla interesy narodu".** Chodzi tu przede wszystkim o zapowiedź utworzenia „systemu demokracji reprezentatywnej, opartej na zasadzie sprawiedliwości społecznej". Oczywiście argentyńscy komuniści sądzić będą wojskowych **„nie według słów lecz czynów".**

Inny przebieg miały **wydarzenia w Libanie.** Dowódca garnizonu bejruckiego zażądał ustąpienia prezydenta Farandżiji i rozpisania natychmiast nowych wyborów. Prezydent najpierw odmówił, potem wyraził zgodę, którą rychło cofnął. Tymczasem **w kraju znów rozgorzały walki, toczące się od dawna na tle religijnym.**

W chwili, kiedy przygotowujemy te słowa do druku, **z Libanu nadeszła wiadomość o 10-dniowym rozejmie.** Równocześnie rząd syryjski złożył oświadczenie, w którym podkreśla, iż Liban padł ofiarą spisku, którego celem jest odwrócenie uwagi od najistotniejszej sprawy — walki z wrogiem izraelskim i jego sojusznikami. Organizatorzy spisku chcą m.in. wciągnąć palestyński ruch oporu w konflikt wewnętrzny i osłabić go. Aby nie dopuścić do tego **Syria podjęła się misji mediacyjnej,** przyjmując za punkty wyjścia: przerwanie walk, zmianę konstytucji, wybór nowego prezydenta i w kolejności dymisję Farandżiji. Jak powiedzie się ta misja — dowiemy się w najbliższych dniach.

A teraz przejdźmy do innego tematu: **nowego kroku Związku Radzieckiego na drodze rozbrojeniowej.** Agencja TASS podała do wiadomości, że ZSRR ogranicza doświadczalne próby jądrowe pod ziemią. Jak wiadomo, radziecko-amerykański układ z lipca 1974 roku przewiduje, że od kwietnia br. te dwa mocarstwa nie będą dokonywały doświadczeń podziemnych z głowicami powyżej określonej mocy. Mimo że układ nie wszedł jeszcze w życie, ponieważ trwają radziecko-amerykańskie rozmowy na temat podziemnych eksplozji dla celów pokojowych — **Związek Radziecki postanowił już zastosować się do odpowiedniego punktu porozumienia.**

Decyzja ZSRR jest aktem dobrej woli i ma duże znaczenie dla osłabienia wyścigu zbrojeń. Powinna ona zachęcić drugą stronę do podobnego kroku i przyspieszenia prac nad sfinalizowaniem porozumienia.

I ostatni temat dzisiejszego przeglądu aktualiów międzynarodowych — **walka o sukcesję po Wilsonie.** O okolicznościach podwójnej dymisji Wilsona i trybie wyłonienia następcy — już pisaliśmy. Sprawdziło się nasze przypuszczenie, że wybór przewodniczącego Partii Pracy, a zarazem premiera rządu (labourzyści mają w parlamencie przewagę i dlatego rezygnacja nie pociągnęła za sobą przedterminowego rozpisania wyborów powszechnych) nie będzie sprawą łatwą. Po dwóch turach głosowania **na placu boju pozostali dwaj kandydaci: minister spraw zagranicznych — James Callaghan i minister zatrudnienia — Michael Foot.** Jednemu z nich frakcja parlamentarna Partii Pracy powierzy funkcję przewodniczącego partii, a więc i premiera. Sądzi się, że większe szanse ma pierwszy z kandydatów, gdyż jest on naturalnym spadkobiercą Wilsona. Był jego najbliższym współpracownikiem i posiada duże doświadczenie pracy w administracji rządowej. Zastanawiające jest tylko, dlaczego w dwóch turach głosowania nie uzyskał znacznej przewagi i tak niewiele głosów dzieli go od Foota.

Uwagi te piszemy w przeddzień trzeciej tury głosowania. Doniesienia agencyjne o jej wyniku wyprzedzą więc czas druku „Odgłosów". Czytelnicy będą zatem mogli sprawdzić, czy przewidywania komentatorów były słuszne.

W. SŁAWSKI

SPORT

KŁOPOTLIWE BENIAMINKI

Utarł się w sporcie taki zwyczaj, że każda nowa drużyna, która awansuje w ligowych rozgrywkach do wyższej grupy, otrzymuje miano: b e n i a m i n k a. Bardzo to ładny zwyczaj, chociaż trochę... dyskryminujący. Pojęcia b e n i a m i n e k używa się bowiem w znaczeniu n a j m ł o d s z y, aczkolwiek pojęcie to ma nieco szersze znaczenie. Beniaminek jest to bowiem nie tylko najmłodszy, ale również u l u b i o n y, w y r ó ż n i a n y, obsypywany pieszczotami i podarkami. Trudno jednak powiedzieć, aby sportowe beniaminki znajdowały się w takiej roli.

Siatkarki Chojeńskiego Klubu Sportowego Komunalni zdobyły zupełnie nieoczekiwanie dla kibiców i znawców tej dziedziny sportu mistrzostwo Polski. Wydarzenie to stało się sportową sensacją. Tak przynajmniej powszechnie mniemano. Innego zdania okazał się być kierownik wyszkolenia PZPS — Janusz Tukiendorf, który odpowiadając na pytanie „Trybuny Ludu": — Czy to sensacja? — stwierdził:

— „Jest to co najwyżej ciekawostka, ale uwypuklanie tego, że beniaminek zdobywa mistrzostwo kraju nie ma sensu. Większość żeńskich drużyn I ligi, podobnie zresztą męskich, jest tworzona sztucznie, to znaczy poprzez werbowanie do klubów znanych i doświadczonych zawodniczek. Z naszą siatkówką nie jest jeszcze tak źle, żeby drużyna II-ligowa po zdobyciu awansu do ekstraklasy sięgała po mistrzowski tytuł nie uzupełniając swego składu".

Wielokrotnie już podkreślano, że w sporcie nieunikniona jest nieustanna „rotacja". Mistrzowie tracą formę, spadają w dolne rejony ligowej tabeli, a ich miejsca zajmują inne, młodsze, bardziej ambitne zespoły. Ale, żeby tak od razu, zaraz po awansie do I ligi, pójść przebojem, pokonać wszystkich i zająć pierwsze miejsce, to co najmniej... nieprzyzwoitość. B e n i a m i n e k powinien znać swoje miejsce, zapłacić frycowe, popetać się trochę w dolnych rejonach ligowej tabeli, ugruntować swoją pozycję i dopiero w następnym sezonie pomyśleć — ze strachem oczywiście — o „awansie" na wyższe piętra tabeli. Ale, żeby zaraz sięgać po mistrzostwo?! Bezczelność!

Janusz Tukiendorf — co prawda — swoją opinię osładza następującym dodatkiem:

„Nie można oczywiście ganić łódzkiego klubu za to... że na przestrzeni roku zanotował tak znaczny postęp. Pozyskał co prawda kilka doświadczonych siatkarek, ale i o szkoleniu młodych nie zapomina".

Tych „kilka" zawodniczek to jest piątka, która do ChKS Komunalni przyszła z innych klubów. Reszta, czyli 8 zawodniczek jest już „własnego chowu", a wśród nich są 4 reprezentantki Polski, w tym 3 w reprezentacji juniorek. Widać rzeczywiście ChKS Komunalni „o szkoleniu młodych nie zapomina". Ale to — moim zdaniem — nie jest „okoliczność łagodząca", powiedziałabym raczej: niezbędna prawidłowość, bez której nie ma i nie może być sukcesu.

W historii żeńskiej drużyny piłki siatkowej ChKS Komunalni jest bowiem pewna konsekwencja. Zaczęły siatkarki ChKS Komunalni od ligi juniorek i co roku awansowały o szczebel wyżej. Taki rajd po szczeblach ligi siatkarek może być tylko wynikiem rzetelnej pracy. I za to klubowi należą się gratulacje i wyrazy uznania.

B e n i a m i n k i w ogóle poczynają sobie aż nadto śmiało i to nie tylko w siatkówce. Na przykład GKS Tychy w sezonie 1973—1974 awansował do I ligi piłki nożnej, a zaraz po tym stał się jej rewelacją i obecnie sięga po mistrzowski tytuł, próbując zagrozić rutynowanemu, ale nie najlepiej dysponowanemu zespołowi Ruchu z Chorzowa. W tym sezonie RTS Widzew — zaraz po awansie do I ligi — też nie przycupnął grzecznie w dolnych partiach ligowej tabeli, nie poczuł respektu przed „starszymi", tylko zaczął uparcie piąć się do góry i — jak wiadomo — uplasował się w czołówce. Co sobie te b e n i a m i n k i w ogóle myślą? Prawie skandal. Żadnego respektu i poszanowania dla „starszych". Żadnego szacunku dla tych wszystkich, którzy zaraz po awansie piłkarskiej drużyny RTS Widzew do I ligi prorokowali, że „po co im to było", „w następnym roku i tak spadną".

Kiedy w radio, telewizji czy w sportowych rubrykach gazet lub prasie sportowej spotykam określenie b e n i a m i n e k, to przypomina mi się znana z opowieści historia murarskiego praktykanta, który aby zostać pierwszym pomocnikiem młodszego pomocnika musiał się sporo nabiegać po papierosy i piwo dla starszych kolegów. Na szczęście są to już tylko opowieści i wspominki. Po piwo i papierosy trzeba dziś chodzić samemu i aby tylko nie w godzinach pracy. U młodych, tak jak i u starych ceni się coraz bardziej fachowość, wiedzę i umiejętności. W sporcie to też powinno obowiązywać.

Sport poza tym jest nieustanną rywalizacją. Mówi się o tym wiele, ale przy jakiejkolwiek ocenie rezultatów szybko się zapomina. A wyniki w sporcie osiąga się pracą, a nie są one przypisane do stażu. Tak mi się przynajmniej wydaje.

BOGDA MADEJ

OBYCZAJE

MILIONERZY Z PRZYPADKU

Dalszy ciąg ze str. 1

wpływa do kasy 65 milionów marek, co daje rocznie półtora miliarda dolarów. Ładny pieniądz, nicht wahr? Jeszcze nigdy przed moim kioskiem nie miałem tak długich kolejek. Co sobota jest to samo. Powiem panu jedno, już tak jest, że im czasy gorsze, tym więcej ludzi gra w „Lotto". Bo na co mają wtedy liczyć, jak nie na los szczęścia?

Używki, hazard, w ogóle ludzkie słabostki. Hazard jest wieczny. Czy pod krzyżem Jezusa rzymscy żołnierze nie hazardowali się w kości? Belgowie powiadają, że w grze jeden to głupiec a drugi to złodziej. Włosi dodają, że kto za młodu gra, ten na starość kradnie. My, Polacy, wiemy lepiej, mówimy, że najgorzej jak ktoś chce się odegrać. Hazard jest wieczny. Jerzy Waszyngton takimi oto słowy upomniał swych współobywateli:

„Hazard jest dzieckiem chciwości, bratem nierówności i ojcem wszelkiej tragedii. Hazard stał się przyczyną ruiny wielu godnych szacunku rodzin, odarł z czci niejednego dżentelmena i stał się przyczyną niejednego samobójstwa".

Anglosasi mieli już zawsze tę żyłkę do hazardu. W zeszłym roku rząd Jej Królewskiej Mości w Wielkiej Brytanii zaczerpnął pół miliarda dolarów z samego tylko opodatkowania niezliczonych w tym kraju „bingo-klubów".

— Panie Richter — zwracam się do zażywnego jegomościa, który żyje z „Lotto", że daj nam Boże wszystkim — Panie Richter, a jaką bym miał mianowicie szansę wygrania pół miliona, gdybym obstawił te pańskie cholerne 49 „Tischtennisbaelle" za 4 marki dwadzieścia?

— Widział pan kiedy zieloną kozę? — odpowiedział pan Richter pytaniem — **Nie? No to powiem panu, że to jak z zieloną kozą i osłem o dwóch „schwanzach". Jedno trafienie zdarza się raz na 14 milionów. Zawsze jednak przybywa nam w Bundesrepublice 240 gości, z których każdy załapał w „Lotto" te swoje pół miliona marek. No jak, bierze pan „Tippscheine"?**

Co roku przybywa w RFN 240 „Lotto półmilionerów". No proszę, co też ci ludzie z forsą robią? Może piją? Może snują się po Sankt-Pauli w Hamburgu, gdzie dziwek tyle, że choćby kto co dzień brał inną, to by musiał przeżyć 300 lat, żeby z każdą zrobić to choć raz w ciągu jednej nocy. Niemcy to jednak Niemcy. Mają już tę swoją skrupulatność. Wyliczyli na komputerach, że co drugi „Lotto-milioner" marzy o własnym domku w ogródku, co czwarty wybiera się w podróż dookoła świata, co siódmy całą wygraną z punktu pakuje na bankowe konto, a co dziesiąty porywa się na „porsche-turbo" za jedyne 50.000 marek i objeżdża modne plaże w poszukiwaniu przygód i emocji. Tylko co trzydziesty z tych milionerów zawiesza pracę na kołku i żyje jak francuski rentier na spokojnej fali z obcinania kuponów.

Foto: W. Parys

Milionerzy. Jak oni wyglądają?

Jednego widziałem, a i owszem, ale od tyłu, na zdjęciu w „Zeitmagazin". En face ten gość sfotografować się nie dał. Jeszcze by czego, lepiej już nie wywoływać wilka z lasu. Widziałem też milionera z przodu. Ale w peruce. I w ciemnych okularach. Jak to się mówi, na ostrożności nikt jeszcze nie stracił. Widziałem i trzeciego milionera. Herr Kodas nie krył niczego. Niby dlaczego miałby kryć? Milion był, no tak, ale sobie poszedł. Co Herr Kodas wygrał, to się z powrotem na „Lotto" rozeszło...

— Najgorsze, proszę pana, jak człowiek chce więcej niż ma. Diabeł mnie skusił, żeby grać dalej, stawiałem z tej wygranej po 3.000 marek tygodniowo i diabli wszystko wzięli. Ale teraz to już gram systemem. Stawiam zawsze na te same numery. Jak pójdę do ziemi i do tego czasu nie wygram, to pociągnie to syn. Ma tak przykazane. A jak syn nie wygra, to wnuk będzie obstawiał. Nie ma siły. W końcu te numery wrócą i pół miliona zostanie w rodzinie...

Herr Richter puka się w czoło.

— Co za Unsinn, ci ludzie nie mają jednak za dużo oleju. Przecież komputer to też wyliczył. Według rachunku prawdopodobieństwa pan Kodas i jego potomkowie musieliby czekać 268890 lat, aż by wyszły te same numery.

Widziałem też milionera w mieście Łodzi.

Widziałem go na Piotrkowskiej. Nie był to stuprocentowy milioner, złapał w zeszłym roku w **„Kukułeczce"** pół miliona, wdepnął więc jedną nogą do tego królestwa. Szedł ulicą samotnie. Krok miał raczej niepewny. Wzrok — raczej błędny. A czy kieszeń miał jeszcze pełną? Tego już nie wiem. Może ktoś go obskubał? Możliwe. Nie ma bowiem nic gorszego, jak milion, o którym wszyscy wiedzą. Wtedy to już kukułeczka nie pomoże i człowiekowi łacno pada kuku na muniu. Radzę przeto milionerom dobrze, lepiej już założyć sobie kłódkę, ani mru mru, nikomu ni słowa. Milczcie jak ten grób, bo ściany mają uszy, a ludzie dziwną mają zdolność wywąchania grubej forsy z dużej nawet odległości. Zjadą się rodzinną watahą i obsiądą jak ten plaster miodu. Dawaj i dawaj, a im więcej dasz, tym więcej zażądają. Nie będzie przed nimi ucieczki, zadziobią i rozdrapią. Zaprawdę powiadam wam, jeśli rozgłosicie o tym milionowym szczęściu, to sami przeklniecie dzień, w którym „totkowy bożek" zrzucił wam na łono milion brzęczących złotówek.

Radzę więc strugać wariata, udawać beznadziejnego golca i tybetańskiego ascetę, a swoje przy tym robić. Domek w ogródku na pewno nie zaszkodzi. Auto też ma swoje plusy. Rodzinie to już trzeba mówić, że to na spłaty, na kredyt, że w ogóle upadliście na głowę, że długi takie, że nie pospłaca się ich do grobowej deski. Wtedy pociotek orzeknie z pociotką, że facet widać stuknięty, z takim to lepiej z daleka, bo jak to mówią, lepiej z mądrym stracić niż z głupim zyskać.

Co złego w **„Totku"?**

Nic, absolutnie nic złego. Powiedziałbym, że więcej nawet w **„Totku"** dobrego niż w tytoniu i czystej wyborowej. Jak już się ma tych parę złociszów na zbyciu, to lepiej je rozrzucić pod nóżki krzykliwej kukułeczki, co to kuka gdy panience serce stuka. Wszystko jest dobre, byle w miarę i bez hazardu. A nuż nam kukułeczka półmilionik wykuka? To sprawa przypadku? Oczywiście, że tak. Ale czy to nie przypadek sprawił, że my sami na tym świecie żyjemy? Wiele dobrych rzeczy dzieje się właśnie z przypadku.

JAN BĄBIŃSKI

EDWARD BRYL

BOMBA W GÓRĘ!

Pogoda słoneczna, tor elastyczny, konie i dżokej w dobrej formie i nastroju...

Łódzka ekspozytura Państwowych Torów Wyścigów Konnych mieści się w samym sercu miasta, przy ulicy Piotrkowskiej 84. Od kwietnia do listopada, w każdą niedzielę, środę i sobotę można grać na wyścigach. Można kusić szczęście i licho... W popołudniowych godzinach robi się tłoczno. Skromny daszek wybudowany dla ochrony przed kaprysami aury, w razie niepogody nie mieści wszystkich chętnych. W dni powszednie przebywa tu około dwustu, a w niedzielę trzystu graczy. Podwóreczko — studnia, drewniany barak, gdzie znajdują się kasy, ławki parkowe gęsto zapełnione przez graczy płci obojga, a przede wszystkim specyficzny nastrój sprawia, że przypadkowy gość czuje się tutaj nieswojo, jakby cofnął się w odległą przeszłość.

Nikomu się nie śpieszy. Oczekiwanie na wielką wygraną. Jedynie w chwilach, gdy zabrzmi dzwonek oznajmiający zamknięcie kas, robi się tłoczniej przy okienkach. To zwolennicy typowania na gorąco kupują bilety, wierząc w uśmiech losu;

— Trzy, dwa — pięć razy!
Dwa, pięć — raz!
Sześć, cztery — trzy!

Teraz pracownicy kas uwijają się jak w ukropie, aby sprostać zadaniu, bowiem za ich plecami już rozlega się głos kierownika...

— Panowie, zamykamy, zamykamy!

Za chwilę zapisane na długich paskach meldunki ze wszystkich kas o sprzedanej ilości biletów, błyskawicznie skomasowane i podliczone, zostaną przekazane telefonicznie do Warszawy. W kasach zapanowuje spokój, zmienia się bloczki na tablicach.

Wszyscy oczekują na wynik gonitwy. Gracze palą nerwowo, dyskutują. Niektórzy przeglądają programy zakupione przy wejściu. Na ławce, tuż obok, siedzą dwie starsze panie. Jedna w jaskrawym makijażu, cieniutkiej chusteczce na głowie i jasnym popelinowym płaszczu pali papierosa i podekscytowana szepcze z towarzyszką. Należy do stałych bywalców. Niewiele gra — dwieście, trzysta złotych dziennie najwyżej, ale jest na wyścigach od otwarcia kas o godz. 12,00 do zamknięcia o 19,00.

Wśród pań rzuca się w oczy zadbana, prosto od fryzjera czterdziestolatka, właścicielka pudla na smyczy, także ufryzowanego, ubrana w obcisły wełniany płaszczyk. Spaceruje wolno, kołysząc biodrami i pilnie baczy, by żaden z biegających luzem kundli nie zbliżył się do jej pupilką.

— Była nauczycielka, robi obecnie w gastronomii. Rzadko tu bywa — powiedział jeden z moich rozmówców.

Panowie zdecydowanie przeważają. Są bardzo zróżnicowani wiekowo i profesjonalnie. Można wśród nich wyróżnić szacownych emerytów z laseczką i złotym sygnetem, w białych koszulach, pod krawatami. Młodszych, takich co to prosto z pracy, jeszcze z teczkami lub torbami fantazyjnie przerzuconymi przez ramię. Są też tacy, o których krążą złe legendy.

Pan B., ma w domu tylko żelazne łóżko. Wszystkie pieniądze na konie przepuścił. Widać także mężczyzn o czerwonych twarzach w poplamionych garniturach i wymiętych koszulach. Ci przeważają zdecydowanie. Kręci się kilka piesków towarzyszących swoim panom. Dziś, oprócz pudla, jest potężny bokser i para pokracznych kundli. Sięgam po aparat fotograficzny. Widzę, że stojący najbliżej spoglądają na mnie nieufnie, gromadzą się szepcząc coś między sobą. Za chwilę podchodzi do mnie na chwiejnych nogach niski, barczysty mężczyzna.

— Tutaj przychodzicie zakłócać spokój porządnym ludziom. Robić zdjęcia? Nie życzę sobie tego! — bełkocze gniewnie.

Wyraźnie poddenerwowani gracze zwracają ku mnie wrogie twarze. Oni nie lubią jak się ich podgląda. Jestem intruzem.

— Solidnym obywatelom, znaczy się wyścigowcom, zdjęć pan nie rób. Tym bandytom, co grają w karty... — krzyczy cienkim głosikiem pani w popelinowym płaszczu.

Słyszę za sobą lekko zachrypnięty bas.

— Spokój, spokój, psiamać!

To pan Stanisław, bileter i równocześnie wykidajło, przywraca porządek. Wyprasza towarzystwo za bramę.

— U nas na terenie ekspozytury nie wolno grać w karty, ani żadne hazardowe gry. Wejdzie tu takich kilku, chowają się po kątach, piwo chlają i potem awantury robią.

Barwna grupka wyniosła się za ogrodzenie i rozłożyła pokera na puszkach od śmieci, w ich pojęciu względnie czystych, bo przeznaczonych na makulaturę z wyścigów. Wróciłem do gracy. Właśnie z głośników popłynął komunikat.

— Na pierwszym miejscu szóstka Ostrawa pod dżokejem Maciejczakiem, na drugim czwórka Hańcza pod dżokejem Rajewskim. Porządek sześć, cztery po 250 zł. Porządek cztery, sześć po 60 złotych.

Zapanowało nieznaczne odprężenie. Tu i ówdzie ktoś zawiedziony zaklął rzucając niedopałek papierosa na ziemię i depcząc go ze złością. Większość jednak przyjęła wynik na pozór spokojnie. Teraz dyskutują zastanawiając się nad wynikiem i typowaniem.

— Popatrz pan, nie spodziewałem się, że przyjdzie sześć — cztery!

— Ta klaczka Carbonella to istna chabeta, do pługa z nią...

Wyniki są już wypisane na tablicy. Gracze gromadzą się tam przez chwilę. Co skrupulatniejsi notują zwycięskie konie. Zaczyna się wędrówka do kas, powtórne obstawianie gonitw, gorączkowa kalkulacja. Niektórzy wracają po dwa razy do okienka, typują na raty. Inni kupują tylko w „swojej" kasie. Nie wszyscy obstawiają piątą gonitwę. Mają swoje metody i przesądy.

Na ziemi leżą gęsto porzucone przegrane kupony. Czasem zdarza się, że roztargniony gracz wyrzuca bilet wygrany. Wie o tym dozorca, który sprząta placyk po „wyścigach". Więc go przeszukuje dokładnie. Na ogół jednak szczęśliwcy wędrują sami do kas, gdzie wygrane wypłaca się zaraz, od ręki. Właśnie przy jednym z okienek wywiązała się dyskusja:

— Panie, coś mi pan dał za bilety! Prosiłem wyraźnie sześć — cztery. Dostałem pięć — cztery i to aż trzy sztuki. Wygrana przeszła mi koło nosa! Masz tu pan swoją makulaturę — gorączkuje się chuderlawy mężczyzna w podniszczonej kurtce — **dawaj moje pieniądze!**

— Trzeba było sprawdzić i od razu interweniować, nie dopiero teraz, jak konie przyszły. Nic nie poradzę, za późno — tłumaczył cierpliwie kasjer.

Mężczyzna w skórzanej kurtce rozejrzał się uważnie i ruszył w kierunku trzyosobowej grupki czerwononosych panów. Widocznie zabrakło mu pieniędzy. Widziałem, jak jeden z kumpli sięgnął do kieszeni i ślinląc palce wyciągnął banknot wręczając go koledze. Pozostałych dwóch niedbale wzruszyło ramionami. Później, tuż przed rozpoczęciem następnej gonitwy, kupował bilety, ale już w innej kasie, wymachując pomiętą setką ponad głowami tłoczących się:

— Proszę pani trzy — dwa, pięć — cztery dwa razy.

— Nie wszyscy postępują tak nerwowo i chaotycznie. Przychodzą do nas ludzie, którzy grali w konie jeszcze za carskich czasów... Dwóch z nich przed wojną miało w Łodzi własne stajnie. Może to trochę za szumna nazwa dla czterech czy pięciu koni, ale interes szedł — mówi pracownik ekspozytury p. Klemens Adamiak. — **Kupują programy, starają się poznać wierzchowce... Typują ostrożnie, z rozwagą. Czy to pomaga? Trudno powiedzieć. Na pewno uczy umiaru, który w tej grze jest niezbędny, jeśli nie chce się wpaść w nałóg. Takich, co zgrywają się dosłownie do ostatniej koszuli wśród naszych bywalców nie brakuje. Przegrywają pensje, meble, często sukcesy osobiste i zawodowe... I wciąż czekają na wielką wygraną...**

Pod murem znów grają w karty. Krąży butelka, kiszone ogórki leżą na ławce w rozdartej papierowej torebce. Trzy karty? Zgromadziło się kilku kibiców i naiwnych. Awantura wisi w powietrzu. Gracze rozrywają się na swój sposób. Kilka lat temu, jakiś emeryt kolejowy, pod bokiem państwowych kas przyjmował prywatne zakłady. Wybuchła z tego większa afera.

Graczy, którzy bywają tu dla przyjemności i rozrywki, jest niewielu. Większością powoduje chęć łatwego zysku, hazard. Przychodzą tu różni; ci wiecznie zarejestrowani w pośredniaku, kierowcy, kierownicy sklepów, lekarze, artyści. Aż do zamknięcia kas tkwi ten tłumek na placu, dziwny i na pozór ospały. Wydaje się, że dla nich czas nie istnieje. Tylko tancerz z Opery spogląda na zegarek, zawsze około siedemnastej znika, by zdążyć na spektakl. Trudno uwierzyć, że za bramą pulsuje miasto, ludzie pracują, śpieszą do domów, dźwigają zakupy. Tutaj nic nie przenika... Magia pieniądza. Przed kilku laty padła wygrana — 49.000 zł w tzw. zakładach francuskich. W zakładach porządkowych można wygrać do pięciu tysięcy (na jeden bilet). W ubiegłym roku trafił gracz dziesięć biletów po 1600 zł.

Sam w młodości miałem konie, opowiada pan Edward T. Byłem członkiem „Towarzystwa Zachęta do hodowli koni w Polsce". Jeżdżę po kilka razy w sezonie, na Służewiec. Lubię ten sport. Nie chcę robić majątku. Gram dla przyjemności. Jestem jednym z niewielu, którzy do tego interesu nie dokładają.

Czy to rozmowa z sympatycznym, starszym panem, czy panujący tu nastrój zadecydowały, że zagrałem. Kupiłem dwa bilety — i, o dziwo, moje konie przyszły. Płacono za porządek dwa — trzy po 260 zł. Idąc za radą doświadczonych, nie kusiłem więcej losu. Schowałem wygraną do kieszeni.

— Koniki biegają na Służewcu, w Sopocie i we Wrocławiu — informuje kierownik łódzkiej ekspozytury Państwowych Torów Wyścigów Konnych, p. Stanisław Bobiński. — **Nasz totalizator wypłaca 80 proc. wpływów, reszta idzie na koszty własne, pensje pracowników etc. Obroty mamy spore, w dzień wyścigów od 100 do 200 tys. złotych. A w ekspozyturze u nas ciasno. Budynek kasowy trzeszczy w szwach. Żadnego schronienia nie ma dla graczy. Dobrze jak nie pada, ale w słotę... Może gdyby wystawiono nowy budynek, estetyczny, funkcjonalny, to i częściej wśród grających spotykałoby się przyzwoitych ludzi, a tak wszystko pasuje jak ulał... Budowa obiektu dla nas to koszt niewielki. Zresztą wszystko zwróciłoby się błyskawicznie.**

Wśród starych murów drewniany barak łódzkiej ekspozytury PTWK. Zamknięci w kamiennej studni — podwórku gracze. Nie widać stąd nieba, ani słońca nad Łodzią. Skazani na ciasnotę i hazard może marzą, żeby popatrzeć na bieg koni, na grzywy rozwiane w galopie, usłyszeć szum na trybunach. Zobaczyć bombę idącą w górę.

BALI

Czytelnicy „Kontynentów", „Perspektyw" i „Dookoła Świata" znają Jerzego Chociłowskiego z jego licznych relacji z podróży po świecie. Chociłowskiego interesują przede wszystkim kraje azjatyckie, jego reporterskie wędrówki wiodły go przez 15 krajów Azji. W roku 1973 trafił na niewielką wyspę Bali, którą XVI-wieczni żeglarze holenderscy określili jako raj na ziemi. Legenda o Bali przetrwała wieki i choć późniejsze przekazy odarły wyspę z części rajskiego uroku, to przecież — jak pisze Jerzy Chociłowski — „...jest na wyspie wiele rzeczy osobliwych i niepowtarzalnych, czyniących z niej miejsce, które opuszcza się z żalem i do którego chciałoby się wrócić".

Plonem wyprawy J. Chociłowskiego na Bali jest książka „Bali — kwiat z ogrodu snów" wydana przez Książkę i Wiedzę w serii „Kontynenty". Autor przedstawia w swej książce zarówno garść faktów z historii wyspy, jak i bogactwo wrażeń z jej teraźniejszości. Przedstawia czytelnikowi uroki wyspy Bali, jak i jej problemy. Pisze o kulturze i obyczajach. Pokazuje jak żyją jej mieszkańcy.

Jerzy Chociłowski uległ czarowi wyspy. W swoich wrażeniach cytuje popularne powiedzenie, że ludzie dzielą się na tych, którzy byli już na Bali i na tych, którzy marzą, aby tam pojechać. Do tego powiedzenia można dodać, że są jeszcze tacy, którzy na Bali nie będą mogli pojechać i dla nich właśnie Jerzy Chociłowski napisał swoją książkę.

Jerzy Chociłowski — „Bali — kwiat z ogrodu snów", Książka i Wiedza, Warszawa — 1976, str. 156, cena: zł 22,—

„FERMINA MARQUEZ"

„Pomysł zapoczątkowania „Ferminą Marquez" długiej serii lektur mających czytelnikowi przypomnieć lub udostępnić po raz pierwszy w ogóle powieść europejską, dziś już mniej czy więcej zapadłą w niepamięć, chociaż głośną w drugiej połowie i pod koniec ubiegłego wieku, a także w latach następnych, powieść którą czas oddalił od nas, lecz w rzadkich tylko wypadkach zdołał naprawdę drasnąć swoim zębem — ów pomysł wydawcy uważam za nadzwyczaj trafny" — pisze Julian Rogoziński we wstępie do wspomnianej wyżej „Ferminy Marquez". I uzasadnia dlaczego.

Przede wszystkim więc ze względu na autora, którym jest Valery Larbaud (1881—1957), prozaik, poeta, eseista i tłumacz, a przy tym wytrawny znawca literatury.

Opublikowana w 1911 roku „Fermina Marquez" jest pierwszym prozatorskim utworem Larbauda przetłumaczonym na język polski. I znów sięgnijmy do wstępu Juliana Rogozińskiego, który wprowadzając nas w tajniki pisarstwa francuskiego pisarza powiada, że „Fermina Marquez" po latach „ocukrowała się jak figa", a „w niczym nie wyblakły urok tej opowieści miłosnej, odmalowanej w barwach pastelowych, jak dawniej mówiono, a mimo to tak żywych przy całej swej aluzyjności i delikatności, że choć rzecz datuje się z „belle époque", sprawy sercowe sztubaków, zalecających się do szesnastoletniej prześlicznej i zagadkowej dziewczyny, można by śmiało przypisać i licealistom dzisiejszym, nie ośmieszając się zbytnio w ich oczach..."

Valery Larbaud — „Fermina Marquez", przełożyła: K. Dzieduszycka, Czytelnik 1976, str. 122, cena: zł 20,—

BERGMAN

Magia nazwiska Ingmara Bergmana sprawi, jeśli już się to nie stało, że wydana w poznańskiej serii „Dzieł Pisarzy Skandynawskich" niewielka książeczka zatytułowana „Sceny z życia małżeńskiego" nie poleży długo w księgarniach.

Bergmana znamy przede wszystkim z jego filmów, tymczasem para się on również twórczością literacką. W roku 1973 ukazał się u nas tom jego prozy „Scenariusze", obecnie wydana książka, to literacki zapis zrealizowanego w 1973 roku sześcioodcinkowego serialu telewizyjnego, który później, na skutek olbrzymiego powodzenia, został skrócony do trzygodzinnej wersji filmowej.

„Sceny z życia małżeńskiego" to kolejna — bo trzeba przypomnieć sobie inne filmy I. Bergmana — analiza życia małżeńskiej pary. Sam Bergman tak przedstawia swoje dzieło:

„...trzy miesiące zajęło mi napisanie tych scen, ale doświadczenie ich zabrało całe życie. Nie jestem pewien, czy lepiej byłoby, gdyby rzecz przedstawiała się odwrotnie, choć to robiłoby lepsze wrażenie. Odczuwam coś w rodzaju przywiązania do tych ludzi pracując nad nimi. Tyle w nich było sprzeczności, czasem trwożliwie dziecinnni, czasem zupełnie dorośli, wygadują sporo głupstw, czasem mówią coś rozsądnego, są lękliwi i radośni, samotni i głupi, życzliwi i mądrzy, zdolni do samozaparcia, oddania, rozgniewani i łagodni, sentymentalni, nieznośni i godni miłości. Wszystko razem pomieszane.

Ingmar Bergman „Sceny z życia małżeńskiego", przełożyli: M. Olszańska, K. Sawicki, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań — 1975, str. 162, cena: zł 25,—

„ZERWANA NIĆ BABIEGO LATA"

„Zerwana nić babiego lata" to jeden z tytułów „Klubu Interesującej Książki" przewidzianych do publikacji w roku 1976, który już ukazał się na półkach księgarskich. Autorem powieści jest Wiktor Smirnow. Urodził się w roku 1933, należy więc do pokolenia, które było za młode, by walczyć podczas wojny. Mimo to Smirnow powraca w swojej twórczości do wojennych przeżyć, wskrzesza ludzi, którzy odwagę i poświęcenie traktowali jak coś zupełnie naturalnego. Tak jest i w wypadku powieści „Zerwana nić babiego lata". Akcja tej powieści toczy się na Polesiu pod koniec wojny. Do obrony tamtejszej ludności przed banderowcami utworzono specjalne oddziały radzieckiej milicji.

Bohaterem powieści jest młody dowódca jednego z oddziałów milicji. Otrzymuje on skomplikowane zadanie. Musi wykryć i zlikwidować nacjonalistyczną bandę, która terroryzuje ludność okolicznych wsi. Dokonać tego może jedynie zdobywając zaufanie poleskich chłopów i ich pomoc.

Akcja powieści toczy się niemal sensacyjnie. Wiktor Smirnow unika jednak tanich efektów. Nie na sensacyjność fabuły kładzie nacisk, ale w sposób nie pozbawiony liryzmu ukazuje los człowieka uwikłanego w historyczne sprzeczności.

Wiktor Smirnow — „Zerwana nić babiego lata", przełożyła: E. Rojewska-Olejarczuk, PIW, Warszawa — 1976, str. 329, cena: zł 25,—

WARTO PRZECZYTAĆ

Halina Auderska — „Ptasi gościniec", „Babie lato", KiW, t. I i II, cena 60 zł
Krzysztof Kamil Baczyński — „Utwory wybrane", Wyd. Literackie, cena 35 zł
Jerzy Grupiński — „W dom jak w kalendarz", Wyd. Poznańskie, cena 10 zł
Jan Lechoń „Poezje", PIW, cena 30 zł
Zenona Macużanka — „Leon Kruczkowski", Iskry, cena 12 zł
Rainer M. Rilke — „Wiersze", Ossolineum, cena 25 zł
Ryszard Sławecki — „Manewr, który ocalił Kraków", Wyd. Literackie, cena 45 zł
Marek Żuławski — „Romantyzm — klasycyzm i z powrotem", Wyd. Literackie, cena 80 zł
Janusz Meissner — „Wraki", Wyd. Literackie, cena 45 zł

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY

Radio co rano bombarduje mnie najnowszym szlagierem zespołu „Dwa plus jeden". Piosenka nazywa się „Wyspa dziewięciu miesięcy". No, właśnie! Akurat mija dziewięć miesięcy od zmian w kierownictwie „Estrady Łódzkiej". Co nam się zatem w łódzkiej rozrywce urodziło w ciągu tego czasu?

Otóż nie obrodziły nam konferencje prasowe, gdzie zapowiada się rewelacje, z których potem zostaje parę trzeciorzędnych koncertów. Takich konferencjałek-obiecanek rzeczywiście nie było. Ale to lepiej.

Zorganizowano natomiast sześć wielkich konferencji z udziałem 10 tysięcy osób każda. Tak jest! W ciągu tych dziewięciu miesięcy „Estrada Łódzka" dała widzom sześć wielkich pokazów estradowych z cyklu **„Gwiazdy Światowej Rozrywki".**

Przypomnijmy: **Livin Blues z Holandii, The Mund i Procol Harum z Wielkiej Brytanii, Please i Big Secret z RFN oraz Sacha Distel z Francji.** Ten sam cykl w Kielcach (gdzie „Estrada" ma swoją delegaturę) reprezentowany był przez **Helenę Vondraczkową i Budapeszteńskie Variété.**

Ale oczywiście nie można bazować tylko na zagranicznych wykonawcach. Trzeba myśleć o wychowaniu, a przynajmniej o doszkalaniu młodych kadr estradowych. Brzmi to może niezbyt efektownie, ale jest to działanie e f e k t y w n e.

Właśnie w końcu marca zakończył się pierwszy etap **Warsztatów Estradowych.** I ta nazwa niezbyt dobrze brzmi w moim uchu, ale przecież nie chodzi o brzmienie nazwy tylko o to, aby na estradzie popisy wokalistów brzmiały dobrze i czysto. **Warsztaty Estradowe** taki właśnie miały cel. Młodzi wykonawcy popracowali sobie z reżyserem, choreografem, odbywali szereg konsultacji muzycznych i wokalnych, zorganizowano im także zajęcia teoretyczne np. z interpretacji piosenki.

Drugi etap **Warsztatów Estradowych** rozpocznie się 23 kwietnia, a zakończy w trzy dni później Wielkim Koncertem Młodych Talentów o nagrodę **„Czterolistnej Koniczynki".**

Tyle o estradowej młodzieży. Jeśli chodzi o wypróbowaną już kadrę uznanych i popularnych artystów, to z „Estradą Łódzką" współpracują ostatnio: **Jerzy Polomski, Zofia i Zbigniew Framerowie, Joanna Rawik, Stenia Kozłowska, Irena Dziedzic, Andrzej Rumian, Jadwiga Strzelecka, Jacek Lech i Lucyna Owsińska, Jaga Paduch, zespół baletowy „Skat", grecki zespół artystyczny „Hellen", grupa wokalna „Aura"...**

Decyzją władz Łodzi „Estrada" otrzyma w centrum miasta salę widowiskową, w której znajdzie pomieszczenie Teatr Rozrywki. Będą tu odbywać się rewie, widowiska rozrywkowe, recitale piosenkarskie, występy kabaretowe... Jest to inicjatywa niezwykle cenna — wiadomo bowiem, że zapotrzebowanie na programy rozrywkowe jest wciąż duże. Tzw. „zagospodarowanie rozrywkowe wolnych sobót" (znów strasznie niełądne określenie) nie może się przecież odbywać wyłącznie przy pomocy telewizji.

Do końca czerwca tego roku, czyli jeszcze do urlopowo-wakacyjnej przerwy w sezonie, odbędą się dwa kolejne koncerty z cyklu „Gwiazdy światowej rozrywki". Będzie zatem międzynarodowy musical młodzieżowy, widowisko barwne i roztańczone, w wykonaniu zespołu o nazwie „Up With People". Drugi koncert, równie ciekawy, choć o innym charakterze — wypełnią recitale **Barry Ryana i francuskiej piosenkarki Françoise Pascal.**

Wreszcie na podsumowanie roku — w pierwszej połowie grudnia III Polskie Targi Estradowe. Nawiasem mówiąc, wokół przesunięcia terminu Targów narosło tyle legend i plotek, że prostowanie nie ma sensu. A zresztą — aktorzy mawiają, że bałagan na próbach i nieporozumienia przed premierą wróżą zawsze powodzenie. Dlatego w tych plotkach i sprzecznych informacjach widzę dobry prognostyk dla Targów Estradowych.

Reasumując: tych dziewięć miesięcy przyniosło łódzkiej rozrywce narodziny wielu ciekawych inicjatyw, obrodziło interesującymi koncertami nie mówiąc już o tym, że firma z rachitycznej panienki przerodziła się w hożą dziewoję o silnym głosie.

WIDOK

LEWYM OKIEM

PIŁA po POŁUDNIU

Przez dwa ostatnie lata z racji mych obowiązków służbowych, nie mających zresztą nic wspólnego z pisaniem felietonów ani w ogóle z pisaniem, jeździłem wiele razy do sąsiadów za Odrą. Jak się już za którymś tam nawrotem zaliczyło wszelkie zabytki, muzea i specyfiki, to co robi się później? Chodzi się po ulicach, a to może być nie tylko duża frajda, ale i wielce pożyteczna poglądowa lekcja.

Chodzi się po ulicach i zagląda do sklepów. A są w Lipsku i w Berlinie, w Dreźnie i w Erfurcie sklepy — wcale nie pojedyńcze, jest ich cała systematyczna siatka — które przyprawiały mnie zawsze o prawdziwą zazdrość. Oprócz sklepów są takie same stoiska we wszystkich domach towarowych NRD, ale jakie stoiska: całe piętra!

Nie ma u nas takich sklepów i takich stoisk, nie istnieje w ogóle ta branża. Chodzi mi mianowicie o sprzedaż wszelakich materiałów, narzędzi i rekwizytów do „majsterkowania".

Mógłbym sobie w przedpokojowej wnęce zbudować szafę z półkami i szykanami według własnego pomysłu. Potrzeba do tego paru przyciętych równo, gładkich desek, albo płyt, paru listew, różnych zawiasków, uchwytów, śrubek i haczyków. Żeby to wszystko samemu zrobić, przyciąć, wygładzić, obłożyć kolorową okleiną — musiałbym mieć cały warsztat. W Lipsku poszedłbym do „Konsumenta" i kupił wszystko od A do Zet. Tylko w domu dopasować, doszlifować i dokombinować. I zabawa duża i duma z własnej przemyślności, i jakże cenne ograniczenie haniebnej zależności od zachłannych a nieuchwytnych panów — pożal się Boże — „fachowców"!

Nareszcie miałbym regały na książki pasujące idealnie do warunków lokalnych, regały, w których mieściłyby się książki, a nie powietrze. Wszystkie nasze półki, segmenty i biblioteki mają głębokość za dużą na jeden rząd książek i ta nadwyżka jest absolutnie straconą przestrzenią życiową człowieka: odstaje od ściany dużo więcej niż trzeba i pomniejsza kubaturę pokoju. Urządziłbym domek na działce, że mucha nie siada; na balkonie miałbym ściśle dopasowane skrzynki do kwiatów, punkty świetlne porozmieszczane po mieszkaniu stosownie do własnych potrzeb i upodobań, łazienkę wyposażoną w wieszaki, zawieszki, podwieszki, tu stojak na buty, tam na parasole; lustro przycięte akurat do miejsca pomiędzy drzwiami a rurą, zdobiącą przedpokój na zasadzie dopustu bożego. To są bardzo proste rzeczy do zrobienia, jak się ma młotek, gwoździe takie jak trzeba i co najmniej jedną rękę prawą. Ale właśnie to wszystko trzeba mieć.

Mamy w Łodzi taki sklepiczek przy alei 1 Maja, daleko, na uboczu, ale mimo to znany szeroko, bo jedyny. Bezbrzeżny smutek ogarnia, jak się tam wejdzie. Tam nie ma nigdy nic, pocięte w drobny mak kawałki sklejek znam już na pamięć, bo leżą tam wiele miesięcy. W dodatku piła tarczowa, przeznaczona do cięcia płyt w miarę potrzeby, czynna jest do szesnastej, bo hałasuje i mąci spokój mieszkańców bloku. To słuszne, piła nie powinna warczeć w jakże akustycznym domku z kart, gęsto zamieszkanym. Ale my — potencjalni klienci — do godziny szesnastej przecież pracujemy! Dla kogo więc przeznaczona jest ta piła?

Nie ma tam — ani w ogóle nigdzie — najzwyklejszego kleju w granulkach. Nie ma ani tam, ani nigdzie wkrętek, ani gwoździ, ani innych drobiazgów. Farb szuka się gdzie indziej, pędzli gdzie indziej. Cóż za porównanie — na przykład — z domem towarowym w Halle: ile tam najróżniejszych kształtek — prętów, rurek, sklejek, krzywek, jaki ogromny wybór gwoździ, ile tworzyw do cięcia, modelowania, pilowania, klejenia, ile metalowych elementów, wymagających tylko: doboru i zamontowania!...

Kiedy wreszcie powstaną sklepy pełne części bez całości, elementów, czekających swej syntezy! Żebyśmy nie chodzili po półlegalnych marginesach i nie „organizowali" sobie byle kawałka płyty spilśnionej, który nagle okazał się niezbędny nie tylko dla obicia od tyłu szafki kuchennej, ale wręcz dla dobrego samopoczucia. Majsterkowicze wszystkich specjalności — łączcie się! Żądamy ćwierćfabrykatów! Zamiast gwoździa sezonu, ogłośmy sezon gwoździ, bo coraz więcej rzeczy zaczyna nam się — najdosłowniej — rozłazić. Czy mamy być bez naszej winy bezradni?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

WIOSNA i KSIĄŻKI

Wiosna stała się faktem. Już nie tylko kalendarzowa, ale i prawdziwa. Po prostu wiosna.

— Panie — mówi mój sąsiad, stojąc w koszuli na balkonie — **to jeszcze nic nie wiadomo. Jeszcze może być śnieg, a i mróz może przyjść.**

Wszystko może się zdarzyć, bo są na świecie rzeczy, o których nawet nie śniło się filozofom. Mimo to trzeba mieć nadzieję, że wszystko będzie jak najlepiej. Więcej optymizmu! Tym bardziej, że wiosna do tego właśnie nastraja.

A jak wiosna, to wiadomo — maj. A jak maj — to wiadomo — **DNI KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI i PRASY.** A jak **DNI,** to również kiermasze.

W Warszawie tradycyjnym stał się kiermasz organizowany u stóp Pałacu Kultury i Nauki. U nas — w Parku im. H. Sienkiewicza. Ale ostatnio kiermasz książki przeniesiono pod Dom Technika. Niby to nie tak daleko, a zawsze. Kiermasz stracił swój tradycyjny charakter, tradycyjną oprawę. Inna powstała atmosfera. To już było nie to. A skoro raz zerwano z tradycją, to niektórzy ludzie pomyśleli sobie: zróbmy krok dalej... I oto spotkałem się z propozycją — rozważaną dość luźnie — żeby w tym roku w ogóle nie robić kiermaszu książki.

Przyznam się, że tak postawiona sprawa lekko mnie zaszokowała. Zachnąłem się, bo to przecież zawsze tradycja. Ale pomyślałem chwilę i zadałem jedynie możliwe w takiej sytuacji pytanie: **dlaczego?**

Okazało się wtedy, że wcale nie chodzi o całkowitą likwidację kiermaszu, ale o zmienienie jego formy. Zamiast jednego pod Domem Technika, proponuje się kilka w różnych punktach miasta. Proponuje się, aby w **DNIACH KULTURY, OŚWIATY, KSIĄŻKI i PRASY** wyjść z książkami przed księgarnie, na ulicę, aby zrobiły to wszystkie księgarnie, a już przede wszystkim te śródmiejskie. Takie rozwiązanie — usłyszałem — pozwoliłoby więcej osiągnąć niższym kosztem.

Poprosiłem o wyjaśnienie.

A więc **raz:** odpada transport. **Dwa:** ludzie zamiast jechać w jedno miejsce miasta, pozostają w księgarni, nie ma więc potrzeby rozdrabniania i tak szczupłych obsad księgarni. **Trzy:** stoisko przed księgarnią dysponuje pełnym jej zapleczem, klienci mogą kupić nie tylko to, co wyłożono na stoisku, ale są zachęcani do tego, aby wejść do księgarni po inne książki. **Cztery:** dziś już nie ma potrzeby wychodzenia z książką do czytelnika, przeciwnie — czytelnik sam upomina się o wiele książek, niektóre pozycje rozchodzą się w sposób wręcz ekspresowy, ale czytelnikowi — zwłaszcza temu mniej wyrobionemu — trzeba pomóc i właśnie stoisko przed księgarnią zachęcałoby do wejścia do środka i poszukania czegoś interesującego. **Pięć:** w Katowicach w ubiegłym roku tak właśnie zrobiono i nie tylko, że świat się nie zawalił, ale księgarnie zrobiły o 100 proc. wyższe obroty niż przy tradycyjnym kiermaszu.

Po wysłuchaniu takich argumentów nie wypada zrobić nic innego jak tylko zastanowić się. Pozostaję z całym szacunkiem dla tradycji, doceniam ją, ale tradycji nie można traktować zawsze w taki sam sposób. Trzeba umieć dostrzegać nowe możliwości i nowe formy. Propozycja zrobienia zamiast jednego kiermaszu, kilku kiermaszów, zorganizowania wielkiego, ogólnomiejskiego, a nawet ogólnowojewódzkiego święta książki, wydaje mi się godna zastanowienia. Sądzę, że warto spróbować. A tak myślę również i dlatego, że kryzys papierowy poważnie dotknął nasz ruch wydawniczy, że wiele książek musi ukazywać się w niezmiernie niskim nakładzie, że niektóre w ogóle nie docierają do czytelnika, bo przede wszystkim muszą dotrzeć do bibliotek, ale też i nie do wszystkich.

Ktoś niedawno dziwił się publicznie, że nawet książki są sprzedawane „spod lady". To prawda, ale też księgarstwa nie można traktować jak handlu rybami czy kapeluszami. A nie można dlatego, że każda księgarnia ma swoich stałych klientów, którzy są ludźmi zawodowo parającymi się książką, dla których książka stanowi wyposażenie ich warsztatu pracy. I takim ludziom trzeba sprzedawać książki „spod lady", gdyż inaczej nie dotarłyby one do nich wcale. Samo „sprzedawanie spod lady" jest zjawiskiem typowym dla przewagi popytu nad podażą. W księgarstwie takie zjawisko też występuje. I ono również wskazuje na to, że lepiej byłoby zamiast jednego kiermaszu, w jednym miejscu zrobić ich przynajmniej kilka, aby stoisko z książkami było tylko propozycją wejścia do środka i poszukania dla każdego czegoś interesującego.

Myślę, że warto byłoby nad taką propozycją poważnie się zastanowić, ale rozważając ją, byłoby dobrze też pomyśleć o należytej propagandzie. Aby ludzie wiedzieli, gdzie mają książek szukać, aby widzieli, że to jest święto książki. Po prostu — tego typu imprezie trzeba byłoby nadać należytą oprawę, estetyczną i zwracającą uwagę przechodnia.

MARCIN RODAK

magazyn

ANDRZEJ JÓŹWIAK

ROZRYWKA RYTM I MELODIA

Czy pop-music jest sztuką? Pierwsza połowa lat siedemdziesiątych przynosi pewien istotny zwrot w ocenie muzyki pop. Są to coraz częstsze próby oceny współczesnej muzyki rozrywkowej jako jednej z form SZTUKI. W latach pięćdziesiątych we wczesnym okresie rock'n'rolla nikomu nie przychodziło do głowy, aby w odniesieniu do tej muzyki zastosować słowo „sztuka". Jedni z odbiorców traktowali rock'n'roll jako muzyczną manierę — efemerydę, przemijającą modę, uznając jednocześnie uniwersalizm tej mody — inni jako w miarę interesujące zjawisko społeczno-socjologiczne, a jeszcze inni jako dość przekonywające nowe elementy nowoczesnej muzyki tanecznej.

Tommy Steele ze swymi klasycznymi **„Rebel rock"** i **„Rock with the caveman"**, **Little Richard** z **„Tutti frutti"** i **„Rip it up"**, pionier amerykańskiego rocka **Gene Vincent, Chuck Berry, Jerry Lee Lewis, Eddie Cochran**, no a przede wszystkim **Bill Haley** i **Elwis Presley** popularyzują na wielką skalę rock nad rolla. **Bill (Wilian John Clifton) Haley** debiutuje już w 1947 roku, a w 1951 wykonuje — wyraźnie zainspirowany boogie-wogie — **„Rock eighty eight"**. Ale prawdziwą inwazję rocka powoduje nagranie (14 kwiecień 1954) utworu **„Rock around the clock"** w dynamicznej interpretacji Haleya i jego **„Comets"**. Rock przekracza Atlantyk i trafia do Europy.

Połowa lat sześćdziesiątych przynosi płytę Beatlesów **„Sergeant Pepper"** i coraz częściej zaczyna mówić się o pop-music jako o sztuce przez duże „S". Muzyka staje się jak gdyby wyzwaniem rzuconym optymistycznemu światu mieszczańskiemu. Powszechna akceptacja pop-music jest próbą oderwania się od kategorii estetycznych poprzedniego okresu. Próby te zauważalne są również w nowych prądach literatury, plastyki, poezji itp. Być może jest to niezamierzone usiłowanie stworzenia muzyki powiązanej z epoką, mającej odbicie we współczesnym modelu kultury okresu urbanizacyjno-industrializacyjnego, a jednocześnie atrakcyjnej i przystępnej dla młodego współczesnego odbiorcy.

Mniej więcej pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy okres dużego triumfu odnosiły zespoły będące miernikiem udanego aliansu jazzu z rockiem **(Chicago, Blood, Sweet and Tears)** kiedy odrodzenie przeżywają formy bluesowe **(J. Mayall, J. Winter, Eric Clapton, Ten Years After, Canned Heat, Paul Butterfield itp.)** seria tragicznych zgonów wyznacza koniec pewnej ery. W krótkim okresie czasu umierają **Brian Jones, Jimi Hendrix, Janis Joplin i Jim Morrison.** Zaczęto ich określać mianem „Wielkich zmarłych". Odejście tak wielu idoli — zmarłych jak się przypuszcza na skutek nadużycia narkotyków — wywołało niepewność, zaskoczenie i lęk.

Jak pisze **George Melly:**

„Odbiorcy popu nie żądają już anonimowości. Przeciwnie — uwielbiają efekciarstwo i tacy muzycy jak Jagger czy Towshend, którzy jawnie okazują satysfakcję, jaką sprawia im zarabianie i wydawanie pieniędzy, zostali ponownie wstawieni do panteonu za swój „uczciwy cynizm" cechę powszechnie afirmowaną".

Wszystko jest wielką, nie liczącą się z niczym zabawą, ale zarazem niezależnie od profesjonalnej doskonałości, brak tu jednak twórczej inwencji. Jagger uprawiał decadent rock już pięć lat temu. **Artur Brown** jest uznanym przodkiem **Alice Cooper.** Joan Baez śpiewa zaangażowany folk-pop od dziesięciu z górą lat. Amerykańscy bracia **Osmond** są przecież białą kopią murzyńskiej grupy **„Jackson Five"**. Również u publiczności wiara została zastąpiona przez pragnienie rozrywki. Publiczność ma już dosyć nawały modernistycznych fraz **Zappy i King Crimson** i dlatego też cukierkowate głosiki braci **Osmond** w **„Puppy Love" „Young Love" (Donny Osmond)**, czy też przebojowy album **„Long haired lover Liverpool"**, 10-letniego wówczas (1972 r.) Jimmy'ego trafiają na podatny grunt.

W latach 1971—72 **„Osmonds"** otrzymali aż 10 „Złotych płyt" podczas gdy dotychczasowi rekordziści w najlepszych swych latach uzyskali: **Elvis Presley** (dziewięć) i **„The Beatles"** (osiem).

I w ten sposób pop-music staje się ponownie showbuzinessem. Cudowna podróż Beatlesów z małego liverpoolskiego klubiku do największych hal i stadionów świata staje się powszechnym wzorem do naśladowania anno domini 1976...

ZDZISŁAW MARZEC

ŻĄDZA ODKRYĆ

Wiedza o człowieku, poznawanie człowieka, to wartości wielkie, ciągle ważne, ba, wręcz fascynujące. Jechałem pociągiem. Zrobił się już zmierzch. Jazda pociągiem z Kutna do Łodzi ma to do siebie, że jest się wówczas świadkiem przemijania czasu. Dzień przemienia się w wieczór, wieczór w noc głuchą, czasem noc zarózowi się świtem. Pociąg zaś jedzie i jedzie, pracowicie sapiąc na starszych odcinkach toru.

Jechałem w pustym przedziale. W całym wagonie było tylko kilka osób. Teraz ludzie u nas nie mają już czasu na jazdę pociągami. Sądząc, że podróż będzie do końca jednakowo nudna, usnąłem. Jednakowoż, gdy po kolejnym gwałtownym szarpnięciu zadręczanej lokomotywy otworzyłem, niechętnie zresztą, oczy, okazało się, że w przedziale nie jestem już sam. Naprzeciw mnie siedziała kobieta. Też spała.

Odezwało się we mnie wrodzone zamiłowanie do wiedzy. Ciekawe — rozważałem — czy udałoby się rozszyfrować tę nieznaną mi przecież postać? Co potrafię o niej powiedzieć? Co ona sama może mi sobą przekazać? Sprawdzę się — pomyślałem. Mam przecież lata studiów za sobą. A zresztą żadnej krzywdy jej tym nie zrobię.

Napiąłem intelekt. Popatrzyłem uważnie na moją towarzyszkę. Mogła mieć 25—30 lat. Czapka wełniana, robiona na drutach, przechyliła się trochę na tył głowy, ukazując włosy długie, ciemne. Gdzie niegdzie widać w nich było drobniuteńkie płatki łupieżu. Twarz dosyć płaska, czoło niewysokie, nos, według mnie niestety, zbyt gruby, był też za bardzo spłaszczony przy nozdrzach. Osmagane, czerwone policzki zdradzały, że wiatr i zimno nie były memu obiektowi obce. Usta posmarowane miała czerwoną szminką, chyba nadto. Proporcje głowy, twarz nie zdradzały rysów klasycznych, subtelnych. Była to twarz raczej pospolita, o przeciętnej urodzie, lekko pochrapująca przez sen.

Objąłem badaniami niższe partie. Tak, piersi posiadała niczego sobie. No, ale po kolei. Bluzeczka jak to bluzeczka, nie wyróżniająca się niczym. Pod nią jeszcze coś też chyba jak bluzka. Diabli wiedzą po co te baby zakładają na siebie tyle ciuchów. Kolor, fason owej garderoby nie rewelacyjny, ot zwyczajny. Tak jak zwyczajna chyba była owa dziewczyna. No, tylko te piersi nie takie zwyczajne, duże, zgrabne. Ów wybryk natury nie pasował mi jednak do reszty obiektu. Patrzyłem na ręce. Były grube, palce od wewnętrznej strony dłoni trochę spękane, nabrzmiałe. Dużo pracuje rękami — stwierdziłem. Ciekawe czy w mieście w fabryce, czy może na roli? — rodziło się pytanie.

Szukałem rozwiązania I znów buty, zwyczajne kozaczki, ale niewysokie, spódnica gruba, ciepła. Zdawało się, że kobietą tą rządzi raczej funkcjonalność, mniej moda. A może nie miała na nią zbyt wiele czasu?

Między kozaczkami a końcem spódnicy znalazłem nogi. Widać było niewiele, trochę kolan i łydek zza pończoch. Odnosiłem wrażenie, że nogi ma troszkę za grube, ale może to buty zakrywając ich część psuły naturalne proporcje.

Bardziej męczyła mnie inna zagadka: fabryka czy rola? Jej rozwiązanie mogłoby bardzo pogłębić moją wiedzę o obiekcie, o jego pochodzeniu, zwyczajach, zainteresowaniach, umiejętnościach itd.

Pomyślałem o udach. Było to olśnienie jakie zdarza się nieczęsto! — Jasne! Praca w fabryce wykonywana jest najczęściej w pozycji stojącej, czasem siedzącej. Przy pracy na roli trzeba ciągle się schylać, podnosić coś z ziemi lub coś w nią sypać. Oczywiście więc, że charakter tej pracy zostawia niezatarte piętno na udach. Kobieta pracująca w polu staje się z konieczności w udach silniejsza — musi je ciągle napinać, dźwigać na nich całą swoją postać. Byłem już bliski rozwiązania. Jeśli ta będzie miała uda silne, umięśnione, wiadomo — chłopka, jeśli nie — robotnica, no, albo urzędnik.

Przybliżyłem się do niej cichutko zemocjonowany odkryciem. Podciągnąłem delikatnie spódnicę do góry. Odsłoniły się uda. Były jakieś dziwnie gładkie, ciepłe. Dotknąłem ich delikatnie. W wagonie było duszno...

Niestety badania tego nie dokończyłem. Niespodziewany cios, jak się potem okazało pękiem kluczy, zadany przez obiekt pozbawił mnie świadomości na dobre kilka minut. Jeszcze jej ostatkiem zauważyłem jak mój obiekt wyskakuje z przedziału na korytarz, krzycząc gwałcą, czy coś podobnego.

Teraz jestem w pudle i chyba niebredko się stąd wydostanę. Głównie ucierpi na tym nauka, bowiem zmuszony jestem na jakiś czas studia zawiesić. Świat nawet nie wie co traci. Byłem już bardzo bliski odkrycia krótszej drogi z Kutna do Łodzi.

POWIĘKSZENIA

MATEMATYK W „EXPRESSIE"

W **„Expressie Ilustrowanym"** dziennikarz — matematyk podpisujący się literką „S" wyliczył rzecz następującą. Otóż w tytule informacji napisał **„4100 nowych podłączeń telefonicznych otrzyma Łódź".**

A w tekście mamy tak: **„Ogółem miastu przybędzie 4100 nowych abonentów"** — i dalej — **„... do tej pory podłączono około 2 tysięcy telefonów, a pozostałe 3.500 aparatów (...) będzie podłączane do sieci w ciągu II i III kwartału".**

Jak obliczył pewien uczeń piątej klasy, razem stanowi to już pięć tysięcy pięćset. Ale to fraszka. Matematyk z „Expressu" dodaje dalej: **„Dyrekcja zdając sobie sprawę, że 6 tys. telefonów nie zaspokoi w pełni potrzeb (...) przystąpiła do rozbudowy „Dąbrowy" o dalsze 4 tys. numerów.**

Rany Julek! Skąd się wzięło w tym dodawaniu raptem 6 tysięcy? A potem jeszcze 4 tysiące. To już razem 10 tysięcy, a nie 4.100... Matematyk z „Expressu" na koniec zaskakuje nas jeszcze jedną liczbą: **„Pozostałych 600 telefonów zainstalowanych będzie w śródmieściu".**

Redaktorze „S", bójcie się Boga! Jakie „pozostałe?" Przecież w notatce i tak przekroczono plan o ponad 100 procent!

SPÓŹNIONY ZAPŁON

„Życie Literackie" doniosło, że w kwietniu odbędą się w Łodzi Polskie Targi Estradowe. Powszechnie wiadomo, że Targi z przyczyn obiektywnych odbędą się w grudniu — piszą o tym prasa.

Spóźniona informacja „Życia Literackiego" musiała się więc przeleżeć w teczkach redakcyjnych parę miesięcy. Okazuje się, że życie biegnie szybciej niż „Życie".

FRASZKI

W **„Dzienniku Popularnym"** znaleźliśmy porcję fraszek. Nie są to, niestety, utwory zaskakujące odkrywczością formy i treści. Szczególnie podobała nam się fraszka:

„I przelewanie z pustego w próżne
Odbywać się może w sposoby różne".

Pomijając gramatyczną odkrywczość fraszki, trzeba stwierdzić, że ilustruje ona w sposób idealny zawartość pozostałych utworów. Istotnie — przelewanie z pustego w próżne może się odbywać także mową wiązaną.

NARODOWO

Jest przy ulicy Piotrkowskiej sklep z krawatami pod dumną nazwą **„Krawat polski"**. Jak dotąd nie ma jeszcze sklepów z szyldami — **„Polskie kąpielówki"** lub **„Skarpetka polska"**...

Ale to nic straconego. Niedawno z reklam w łódzkiej prasie dowiedzieliśmy się, że wytwórnia kapeluszy w Skoczowie nazywa się... **„Polkap"**. Czyli **„Polski kapelusz"**. Dobrze, że na metkach producenci nie umieszczają orła i barw narodowych.

A swoją drogą przydałoby się nieco umiaru. Sprawa oczywiście jest marginesowa, ale po co w tych marginesowych sprawach ma być śmiesznie?

JAK BYŁO?

„Express Ilustrowany" pisze: **"Maria Estela Peron wraz z osiemdziesięcioma współpracownikami usiłowała zbiec za granicę. Zatrzymano ją na lotnisku".**

„Głos Robotniczy" natomiast informuje, że panią Peron porwano (w jej własnym helikopterze) i zawieziono na lotnisko. Nie z osiemdziesięcioma współpracownikami, lecz tylko z sekretarzem i jednym członkiem ochrony.

Ciekawostka polega na tym, że obie gazety korzystają z tego samego serwisu zagranicznego Polskiej Agencji Prasowej.

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

NIECH SIĘ ŚWIĘCI CAŁY ROK

Mnogość różnego rodzaju „dni" — zarówno międzynarodowych jak i obchodzonych w kraju, skłoniła mnie do przeprowadzenia wnikliwych i wyczerpujących badań w tym zakresie. Problem od dawna domagał się systematyzacji, oceny ilościowej i jakościowej, jako też wytyczenia perspektyw na przyszłość.

Wszelkiego rodzaju „dni" dzielimy więc przede wszystkim na dni międzynarodowe (światowe) oraz krajowe. Wieloletnia, skrupulatna lektura naszych gazet, czasopism i kalendarzy pozwoliła mi na możliwie pełne skompletowanie alfabetycznego wykazu dni, które przyszło nam obchodzić. Będę oczywiście wdzięczny za ewentualne uzupełnienie mego zestawienia:

Międzynarodowy Dzień Alfabetyzacji, Dzień Babci, Międzynarodowy Dzień Bezpieczeństwa Dzieci na Drogach, Dzień Budowlanych, Dzień Chemika, Dzień Czerwonego Krzyża, Dzień Drukarza, Dzień Działkowca, Dzień Działacza Kultury, Dzień Dziecka, Dzień Energetyka, Międzynarodowy Dzień Głuchych, Dzień Górnika, Dzień Górnika-Naftowca, Dzień Hutnika, Międzynarodowy Dzień Inwalidy, Międzynarodowy Dzień Inwalidy Pracy, Dzień Jedności Afrykańskiej, Dzień Kobiet, Dzień Kolejarza, Międzynarodowy Dzień Książki dla Dzieci, Dzień Kultury Fizycznej, Dzień Lasu, Dzień Latawca, Dzień Leśnika i Drzewiarza, Dzień Lotnictwa, Dzień Łączności owca, Dzień Matki, Dzień Marynarki Wojennej, Dzień Metalowca, Międzynarodowy Dzień Meteorologii Światowy Dzień Miast Bliźniaczych, Międzynarodowy Dzień Młodzieży, Dzień Nauczyciela, Dzień Nauki, Międzynarodowy Dzień Niewidomego, Dzień Ochrony Środowiska, Dzień Odlewnika, Dzień Ojca, Dzień Olimpijczyka, Dzień ONZ, Dzień Podchorążego, Dzień Polskiego Piłkarza, Dzień Portowca, Dzień Pracownika Handlu, Dzień Pracownika Komunalnego, Dzień Pracownika Przemysłu Spożywczego, Dzień Pracownika Przemysłu Terenowego, Dzień Pracownika Służby Zdrowia, Dzień Radia, Dzień Ratownika Górskiego, Dzień Ratownika WOPR, Międzynarodowy Dzień Ratownika, Dzień Rybaka, Dzień Sapera, Międzynarodowy Dzień Solidarności Dziennikarzy, Międzynarodowy Dzień Spółdzielcy, Dzień Stoczniowca, Dzień Strażaka, Dzień Studenta, Światowy Dzień Telekomunikacji, Międzynarodowy Dzień Teatru, Dzień Transportowca i Drogowca, Dzień Trenera, Światowy Dzień Turystyki, Dzień Walki z Alkoholizmem, Dzień Włókniarza, Światowy Dzień Zdrowia, Dzień Znaczka Pocztowego — oraz 18 innych Dni, których z braku miejsca wymieniać tu nie będę.

Już pobieżny rzut oka na powyższy wykaz pozwoli nam dojść do wniosku, że niektóre zawody są uprzywilejowane np. oprócz Dnia Górnika jako takiego mamy jeszcze Dzień Górnika-Naftowca, trzy razy świętują ratownicy, obchodzimy też kilka dni związanych z dziećmi. A tymczasem niektórzy zostali w ogóle pominięci: jest Dzień Matki Dzień Ojca, Dzień Babci, z nieznanych przyczyn pominięto jednak Dziadka nie wspominając już o Wuju czy Cioci. Mają swój dzień odlewnicy, niestety brak na liście kelnerów, entomologów, czy kominiarzy, żeby organiczyć się do tych tylko przykładów. Niech zresztą odezwą się sami zainteresowani.

Czas na podsumowanie. Mój niepełny, prawdopodobnie, wykaz obejmuje 87 dni, które zaleca się świętować.

Gdy dodamy do tego 52 niedziele oraz 7 świąt państwowych i kościelnych, **otrzymamy w sumie 146 dni w roku przeznaczonych do świętowania.**

Proste działanie arytmetyczne **(365 minus 146)** pozwoli nam stwierdzić, **że mamy jeszcze 219 dni powszednich nie poświęconych niczemu i nikomu.** Nie traćmy jednak nadziei!

Tych 219 dni jest optymistycznym prognostykiem na przyszłość i być może wszyscy niedoceniani, opuszczani, niezauważani i pomijani (w tym również satyrycy!) będą sukcesywnie wciągani na honorową listę, tak, aby cały rok stał się wreszcie jednym wielkim, nie kończącym się świętem. Gdy dojdzie już do tego, to oczywiście pracować będą za nas same automaty.

MAŁE KINO

Najlepsze te małe kina
G.I.G.

MŁODE MARZENIA

By osiągnąć w życiu upragniony cel, dobrze jest zmierzać ku Niemu już od dzieciństwa. Zenek Bijak z kl. I Szkoły dla Dzieci Łatwych tak właśnie czyni. Zenek potrafi już zamyśleć się na lekcji matematyki, z nogą założoną na nogę. Rodzice Zenka nie są przeciwni. Mama szyje mu czapkę z dzwoneczkami, tatuś w dniu wypłaty dzieli się z nim celnymi powiedzeniami a babunia pragnąc dopomóc dziecku w jego zamierzeniach, wsypuje mu do mleczka, specjalne, drogie proszki, by chłopiec nie rósł już więcej niepotrzebnie. Jest więc szansa, iż Zenek Bijak, gdy osiągnie pełną sprawność, zagra Stańczyka w którymś z naszych filmów historycznych.

PRAWDA W SERZE

Holenderscy naukowcy filmowi zakończyli ostatnio prace nad filmem o życiu w głębi sera. Do nakręcania filmu użyto różnych gatunków tego popularnego i zdrowego przysmaku. Życie we wszystkich gatunkach pochodzenia zachodniego przedstawia wstrząsający obraz. Pełno tu wyzysku organizmów słabszych przez silniejsze, przekupstwa, wstecznych enzymów. Na tym tle jakże korzystnie wypada nasz ser tylżycki, może smakowo gorszy, lecz reprezentujący w swojej głębi życia wyzbyte okrucieństwa, wykazujące liczne objawy kultury międzybakteryjnej i nie pozbawione drobnych, codziennych radości.

JAPOŃSKIE ADOPTOWANIE

Przebywająca w słonecznej Japonii grupka turystów polskich, w ostatniej dosłownie chwili przekonała tamtejszych twórców kończących prace nad filmem wg. E. Orzeszkowej „Nad Niemnem", iż sugestia zawarta w tytule dotyczy rzeki nie zaś nazwiska. Zawstydzeni Japończycy przyrzekli jeszcze raz nakręcić film od początku nie żałując wody oraz na znak wdzięczności ponarzekali przy polskich turystach na cesarza.

WESOŁA OSADA

Osada Rogatka nad Bystrą Wodą słynie z wdzięku i dowcipu w całym powiecie. Choć kino objazdowe przybywa tu rzadko, ludność wykazuje również spore obycie filmowe. Na doświadczonego lecz niewielkiego wzrostem rolnika Kazimierza Rapkę wołają życzliwie: „Kazimierz Wielki", zaś gajowego Bolesława Garka, który włożył palce w sieczkarnię miejscowi nazywają „Bolkiem Śmiałym". Co ciekawsze, męska część ludności, widząc zbliżającą się Jadwigę K. znaną z niehigienicznego życia płciowego, wyciąga w jej stronę dłoń z banknotem, wabiąc równocześnie: „Na... na...!"

NIEUBŁAGANA SPRAWIEDLIWOŚĆ

W Los Angeles pewien rosły kapitalista zaśmiewał się głośno na smutnym i postępowym filmie. Oczywiście już wkrótce dała o sobie znać sprawiedliwość dziejowa. Zdumieni biletерzy ujrzeli niebawem tego samego rosłego przedstawiciela kapitału, gorzko płaczącego na filmie wesołym i reakcyjnym.

ANDRZEJ CZEKALSKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 744, R-9, Nr indeksu 26762.